

odgłosy

* AZIMIERZ ZYGMUND

Podderwanie Sabinek



Fot. Z. Proszowski

STANISŁAW
CZAJKOWSKI

Wybory od podszewki²⁾

Drukujemy dziś następny odcinek pamiętnika, w którym kierownik referatu rady i jej organów Prezydium DRN Łódź-Górna, sprawujący w dziedzinie opieki nad przygotowaniem organizacyjnymi do wyborów, notuje codziennie swój udział w akcji.

Jak czytelnik zdołał już zorientować się z poprzedniego odcinka, w pamiętniku jest mowa tylko o sprawach, których „przeciętny” obywatel nie zna — wszak do sprawnego przygotowania wyborów trzeba było powołać olbrzymią machinę, złożoną z dziesiątków ludzi.

Dlatego też wspomnieniom, które drukujemy, mogliśmy dać tytuł „Wybory od podszewki”.

* * *

Przerwałem swoje notatki w dniu 21 marca i wybrałem do druku najciekawsze fragmenty. Obecnie w ten sam sposób opiszę okres do 5 kwietnia.

1.000 SPROSTOWAŃ

22 marca minęło już 10 dni od momentu wyłożenia spisów wyborców. Bez przerwy napływały sprostowania do list. Naliczyliśmy ich w dzielnicy dokładnie 1.073. W całej Łodzi licząca sprostowań przekroczyła 5 tysięcy. Pięciokrotnie więcej niż w poprzednich wyborach, kiedy listy sporządzano odrębnie w referatach meldunkowych.

Jak zaznaczyłem w poprzednim odcinku, obecnie listy drukowała dla wszystkich dzielnic „Adrema” — czyli biuro zmechanizowanej ewidencji ludności. Mniej więcej połowa sprostowań, zgłoszonych przez wyborców przy sprawdzaniu list dotyczyła zwyczajnych omyłek w druku.

Były też inne, „trudniejsze” sprostowania.

„EGZAMIN POPRAWKOWY”

Na przykład w dniu 27 marca ktoś z lokatorów domu przy ul. Pabianickiej 28

zameldował, że sąsiadka, ob. K. w ostatnich dniach zmarła. W biurze meldunkowym nie było jeszcze adnotacji, należało zatem sprawdzić w domu.

Trudno jakoś w takim wypadku zaglądać wprost do mieszkania, gdzie panuje żałoba. Odszukuję dozorczynię. Wiadomość potwierdza się. Ale tylko do pewnego stopnia. Zmarł bowiem ob. K. a nie jego żona.

Widać z tego, że sprawdzanie na miejscu niektórych zgłoszonych poprawek, jest konieczne i uzasadnione.

Szczególne kłopoty są z poprawkami, dotyczącymi ciężko chorych umysłowo (nadeszło około 100 tego rodzaju). Takie meldunki składają sąsiedzi. Zwykle nie ma to oficjalnego potwierdzenia w postaci zaświadczenia z poradni zdrowia psychicznego, trudno stwierdzić, czy chory jest w stanie głosić, czy też nie. Trzeba również sprawdzać na miejscu.

Oto posesja przy ul. Kilińskiego 225. Na podwórku bawią się dzieci. Ktoś z lokatorów zameldował, że u sąsiadów jest umysłowo chora. Mam nazwisko, ale brak mi numeru mieszkania. Pytam kłóresz z dzieci o numer. Orientuję się po chwila, że cała rozbawiona dziewczynka ciągnie za mną. Nie

ich wina, to skutki wychowania. Siadam na oknie i wyciągam gazetę. Czekam. Wreszcie wracają na podwórko. Wtedy pukam. W domu jest matka chorej. Proszę o przysłanie zaświadczenia i... dalej w drogę.

Wyjaśnianie poprawek i wysyłanie pisemnych odpowiedzi zajmuje nam właściwie pełne 10 dni.

SKĄD TE OKAZJE?

Mnożą się okazje do sprostowań, jakie trudno było przewidzieć. Pominięto w spisie przez przeoczenie osobę zameldowaną, umieszczono nazwisko kogoś, kto dawno się wymeldował. To tylko „najprostsze” sprawy.

Rodziny zgłosiły około 200 osób, przebywających w więzieniu lub w areszcie. Blisko 30 mężatek figurowało jeszcze pod panięskimi nazwiskami. Kogoś wciągnęto na listę, mimo że nie ukończył 18 lat. A jeszcze, odbywający służbę wojskową, przebywający na dłuższym leczeniu poza domem, inwalidzi, którzy nie opuszczają mieszkania.

Ludzie są drobniagowi. „Protestują” nawet wtedy, gdy zamiast imienia Marianna figuruje Maria.

Zwykle nie wymeldowują się osoby wyjeżdżające za granicę. Pewne małżeństwo nie zdążyło załatwić formalności meldunkowych przez

Dokończenie
na str. 2

MARIAN SEDNO PIECHAL RZECZY ARTYSTA

obserwuje, wybiera, domyśla się

Są ludzie, którzy odmawiają jakiegokolwiek poważnego znaczenia literaturze. Ot, zwykła zabawa czy rozrywka i tyle. Czy tylko tyle? Jeżeli zabawa czy nawet tylko rozrywka, to już nie bez znaczenia. O znaczeniu zabawy napisano wiele bardzo poważnych dzieł naukowych. Traktują o tym osobno działy socjologii współczesnej, a nawet filozofii i to nie od dziś. Jeżeli zatem literatura jest zabawą, to nie taką sobie zwykłą zabawą, lecz właśnie niezwykłą, szczególną — powiedziałbym nawet — osobliwą. Przez co? Przez to, że ma ogromnie praktyczne znaczenie w naszym życiu zarówno osobistym jak społecznym.

Nie chodzi tutaj o rozpatrywanie literatury z punktu widzenia psychologii, pedagogiki czy historii jako wzorca, świadectwa lub zwierciadła życia. Owszem, tym wszystkim literatura jest, a przynajmniej może być, bez ujem dla siebie. Ale nie na tym polega

jej najważniejsze znaczenie. To najważniejsze znaczenie tkwi, że tak powiem, w jej problemowości.

Rzecz jasna, że źródłem wszelkich problemów jest życie. Życie rodzi problemy, ale literatura je formuluje, egzemplifikuje i ujawnia. Na tym polega jej niezastąpione niczym w życiu praktyczne znaczenie, jej funkcja społeczna.

Ktoś powie, że robią to poszczególne nauki, specjalności i działy wiedzy ludzkiej. Tak jest, ale literatura robi to w sposób uogólniający, scalający, zbiorczy i poprzez formy wyrazu syntetyczne, obrazowe i przenośne, powieściowym, popularnym i powszechnym, a więc komunikatywnym czyli czytelnym dla wszystkich. Nauki często rozwiązują problemy w zakresie swoich specjalności, natomiast problemy, które podejmuje i ujawnia literatura, może rozwiązać jedynie życie samo. I tym się właśnie

literatura różni od nauk, że ona żadnego problemu nie rozwiązuje, tylko, że tak powiem, podaje go życiu do rozwiązania. I w tym właśnie tkwi differentia specifica literatury.

Z tej praktycznej odmienności literatury wynika odmienność zadań powołania pisarskiego. Nie jest zadaniem pisarza rozwiązywanie problemów. Więcej by szkody narobił sobie i społeczeństwu takim traktowaniem swego zadania, niż pożytku. Zadaniem pisarza jest: stawianie problemów. Co to znaczy stawianie? To znaczy dostrzeganie je w życiu, bo tylko życie je rodzi, uświadamianie je sobie i komunikowanie w sposób jedynie przekonujący, to jest artystyczny, czytelnikowi. Rozwiązanie tych wykrytych (jak mówią, krytycy: postawionych) przez literaturę problemów należy już do ludzi zajmujących się niejako pro-

(Dokończenie na str. 6)

Stynie z tego Zakopane, że tu wszystko zakochane... I rzeczywiście. Jedni zakochani są w Tatrach, inni w cudzych żonach, jeszcze inni w zanikającym folklorze góralskim.

Kiedy pewien mój znajomy wrócił do domu po dwóch tygodniach urlopu, a żona powitała go w progę walizką, wręczył jej tomik nowych fraszek Jana Sztudyniera, tłumacząc się gestem — przeczytaj — a przekonasz się, że nie mogłem inaczej. Biada tym, co się wyłamują.

— Ach tak, to ja też jadę na wczasy do Zakopanego.

— Jest coś niewytłumaczonego w klimacie stolicy sportów zimowych — wyjaśniał mi rzeczowo pewien podtatuś siły jegomość — Coś, co sprzyja flirtowi i z tych względów nie zezwoliliby żonie na przyjazd, mężczyzna to co innego.

— Proszę pana, jak pan wyjaśni takie zjawisko — żali się kierownik pensjonatu. Po całonocnej podróży pewien dżentelmen na poważnym stanowisku wchodzi do administracji domu wczasowego i od razu pyta:

— Jak tam, czy są do podderwania Sabinki?

— I co pan mu na to odpowiedział?

— Co? Ze sam się zabawiam w Rzymianina.

Ale dość tych ploteczek, mówimy o konkretach. A zatem walizka już rozpakowana na tym szczycie. Jedynie zapach zakąsek dobowyjących się przez otwarte okna restauracji nie jest tak świeży jak niedgdyś. Ci, którzy tego nie zauważyli w porę, ciężkim bólem żołądka odpokutowali brak nosa w dziedzinie kulinarnej.

Jeżeli z kimś dawno się się od słów: „przepraszam,

skąd się znamy” — gdy nie spodziewanie od innego stolika przesiadł się do blondynki pewien lekarz. Inżynier jest wyraźnie niezadowolony. Przez moment twarz jego upodabnia się do nieba podczas burzy.

Jedliśmy razem obiad. Inżynier wyjaśnił fachowo dlaczego należy działać natychmiast, tuż po przyjeździe, bo później wszystko jest już obsadzone.

A jak jest wszystko obsadzone, to wtedy pozostają tylko dwie możliwości spędzenia urlopu. Sport, ale to jest za męczące albo „Watra” — ale to jest za drogie.

Niebawem nasz inżynier gdzieś znikł, prawdopodobnie w pogoni za tanimi uściskami, a ponieważ sam skłaniał się do przekonania, że należy poznawać życie przez sumę doświadczeń, przeto złożywszy wiosła do łodzi pozwoliłem się nieść prądom w nieznaną. To znaczy na Gubalówkę. Nic się tu nie zmieniło od lat, tak jak kiedyś wyczekują alumy na bilety w ogonku, tak jak dawniej toczy się tu ciekłe boje — kto pierwszy po leżak. I jak zawsze słyszy się owo znane powiedzenie pożeraczy słońca: — Panie, kładź się pan, boś nie rentgen. I tak jak zawsze na leżakujących opada gęsta porcja sadzy z jedyne go komina na tym szczycie. Jedynie zapach zakąsek dobowyjących się przez otwarte okna restauracji nie jest tak świeży jak niedgdyś. Ci, którzy tego nie zauważyli w porę, ciężkim bólem żołądka odpokutowali brak nosa w dziedzinie kulinarnej.

Jeżeli z kimś dawno się

nie widzieliście — jedźcie na tychmiast na Gubalówkę — tam spotkacie kogo trzeba — z ministerstwa finansów i kultury, a także kupców z Marszałkowskiej i bocznych uliczek biegnących od Piotrkowskiej. Znajomych z Wybrzeża i Katowic.

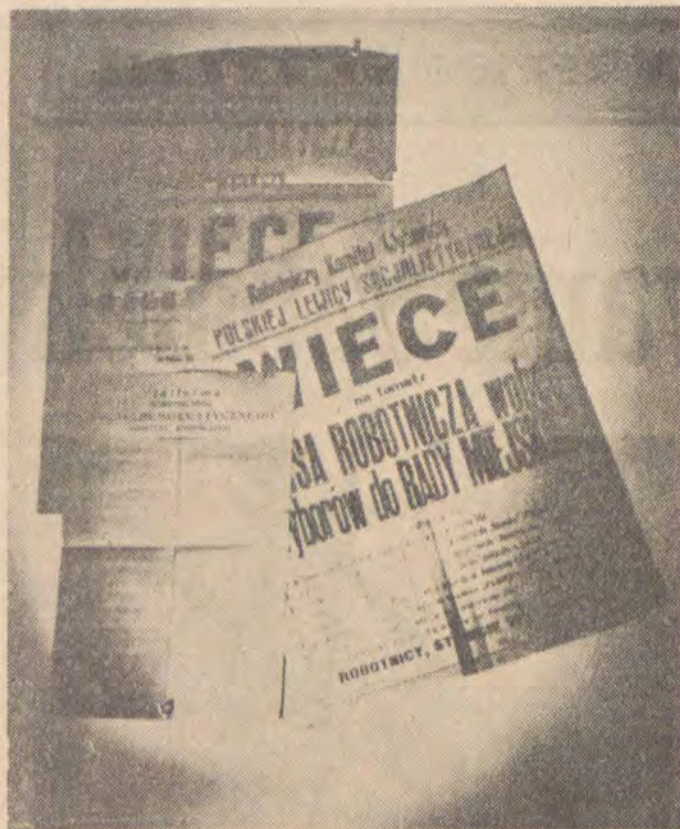
To rendez vous wszystkich ster codziennie się powtarzają na Gubalówce, wieczorem w „Watrze”. Ten reprezentacyjny lokal o 20-tej otwiera swoje podwoje, jest wtedy przytulny i nastrojowy. Gdy o trzeciej nad ranem kelnerzy wynoszą zalanych facetów — zamienia się w śmietnisko.

Następnego dnia znów będzie tu miło. Bo w tym czasie, gdy ostatni goście zostali przekazani przez wytwornych kelnerów zakopiańskich doróżkarzom, którzy są mniej wytworni i obdrą ich do reszty ze skóry — obsługa zdąży już lokal wysprzątać i naprawić połamane meble. Lecz dzień następny znowu jest optymistyczny. Jedziemy kolejką na Kasprowy, udawać narciarzy.

Rozrzewnienie malowało się na twarzach doróżkarzy i tych, którzy padli wczoraj ofiarą chciwości. Uśmiechały się oczy młodych panienek, które tutaj popularnie nazywa się kuzynkami, gdyż wszyscy starsi panowie przedstawiają swoje młode damy jako kuzynki. Zadowolony był również inżynier niecnota i poważny zwykle pan sędzia. Na dole już wiosna, w górze białe szaleństwo.

Sądze, że Jan Sztudyniera swoją fraszkę :

(Dokończenie na str. 8)



TADEUSZ TELMA

Próba sił

(Pierwsze wybory w Łodzi)

Za kilka dni mieszkańcy Łodzi udadzą się do urn wyborczych, by wziąć udział w kolejnych wyborach do Rad Narodowych.

Niewiele jednak łodzian wie, kiedy odbyły się pierwsze wybory w naszym mieście. Zapytani o to znajomi dawali różne odpowiedzi i ani jedna nie była trafna. A przecież niewiele ponad czterdzieści lat dzieli nas od tego momentu.

Nadarza się więc okazja, by wrócić myślą do tych chwil i przynajmniej pokrótce przedstawić wycinek z historii Łodzi. Wycinek bardzo ciekawy. Miasto przez okres 3 miesięcy przeszło namiętną walkę polityczną, burzliwe wiecze, sięgające często fantastycznych jak na owe czasy rozmiarów — trzech, czterech tysięcy uczestników. Walka istotnie była zaciekła. Jak podawała ówczesna prasa — nie różniła się od słynnych kampanii wyborczych w Stanach Zjednoczonych. Przejróżniano ją nawet do napięcia politycznego z okresu rewolucji 1905—1907 r.

* * *

Pierwsze wybory do Rady Miejskiej w Łodzi odbyły się w styczniu 1917 r. w okresie okupacji niemieckiej. Do tego czasu istniała Rada Miejska tylko z nominacji. Ktoś może zapytać: jak to? Niemcy byli tak wspaniałomyślni, że przeprowadzili wybory? Istotnie. Jednakże byli do tego po prostu zmuszeni.

Dwie przyczyny złożyły się na rozpisanie wyborów i ogłoszenie ordynacji wyborczej:

1) Klęski na frontach, brak dopływu nowego rekruta, pewne możliwości wykorzystania rezerwy ludzkich w Królestwie zmusiły okupanta do wydania tzw. aktu z 5 listopada. Aby akt ten był dobrze przyjęty postanowiono kilka dni wcześniej ogłosić ordynację wyborczą do Rad Miejskich.

2) Walka ze strony społeczeństwa polskiego, szczególnie partii lewicowych o zdemokratyzowanie samorządu i rozpisanie wyborów.

Ówczesna ordynacja wyborcza obowiązywała jeszcze w Prusach różniła się zasadniczo od obecnej. Już wtedy krytykowano ją jako rzeczą szkodliwą szczególnie zaś atakowano jej niedemokratyczny charakter.

Wyborcy — zgodnie z ordynacją podzieleni byli na sześć kurlii, przy czym każda kurlia wybierała 10 radnych. To właśnie decydowało o reakcyjnym charakterze ordynacji. O ile bowiem np. do kurlii I należały zawody „uczonych”, do kurlii II — przemysłowcy, a IV — właściciele nieruchomości, to z góry było wiadomo, że chodzi o niewielką grupę ludzi. (Nawiasem mówiąc, tylko w

Burżuazja nie miała ze sobą o co walczyć. Dawny spór pomiędzy aktywistami (zwolennicy państw centralnych) i pasywiistami (zwolennicy państw koalicji) powoli zacierał się. Zwłaszcza od czasu, kiedy Niemcy odnieśli szereg zwycięstw nad Rosją. Otwierała się perspektywa na synekury urzędnicze, co z kolei doprowadziło do wahań w obozie pasywiistów.

Nikt nie walczył przeciwko tym, którzy jutro mogą stać się przyjaciółmi. Lepiej wyjść ze wspólną platformą ideową. Taką platformą bez względu na różnice polityczne i narodowościowe była przede wszystkim obrona zagrożonego stanu posiadania przed żądaniami warstw nieposiadających. Ostrze agitacji i propagandy skierowano przeciwko klasie robotniczej. Usłowiano ją rozbić od wewnątrz poprzez tworzenie agenturalnych komitetów w łonie kurlii robotniczej, bądź też odizolować ją od społeczeństwa oczerniając na wiecach i w publikacjach.

Całkiem odmiennie wyglą-

dała sytuacja w obozie robotniczym. Walka wyborcza w kurlii tej była niezwykle ożywiona i trwała do samego momentu wyborów.

Lewicowe partie robotnicze zdawały sobie doskonale sprawę, że tak skonstruowana ordynacja wyborcza zapewni partiom burżuazyjnym większość w Radach. Potraktowano więc wybory jako środek uświadczania mas politycznego. Zakładano — i słusznie — że wobec rosnącej świadomości i aktywności robotników, burżuazja musi wykazać większą gotowość do ustępstw.

* * *

W wyborach brało udział 17 komitetów wyborczych utworzonych przez różne partie polityczne.

Dnia 7. XII. 1916 r. rozlepiłono na mieście odezwę i program POLSKIEGO KOMITETU WYBORCZEGO. Kierowniczą rolę w bloku tym odegrała Narodowa Demokracja — reprezentant elementów prawicowych i pasywiistycznych. Dla celów wyborczych PKW powołał biuro organizacyjne, które natychmiast rozpoczęło akcję propagandową. W tym celu wydano sporą ilość druków ulotnych i afiszy wyborczych. Komitet nie dysponował bowiem polską prasą codzienną. Wszystkie trzy dzienniki polskie — kierując się zresztą różnymi przesłankami — stały na gruncie niepodległości i często nawet zwalczały poglądy Narodowej Demokracji. Dlatego też Komitet korzystał z lamów gazety niemieckiej, „Neue Lodzer Zeitung” i wydawał własny biuletyn pt. „Wyborcza Polski”.

Oprócz tego PKW prowadził agitację na wiecach. W okresie wyborczym zorganizowano ich kilkanaście. Niektóre z nich zresztą kończyły się fiaskiem. I tak dnia 9 grudnia 1916 roku na wiec w fabryce Geyera przybyło około 6.000 osób. Kiedy jeden z robotników pragnął zabrać głos, prezydium odmówiło jego prośbie. W zamian robotnicy nie pozwolili na odczytanie rezolucji i zmusili organizatorów do zamknięcia zebrania. Ogólnie mówiąc „endecy” domagali się zreformowania Rady Miejskiej, zwalczali Żydów i socjalistów, jako — ich zdaniem — wrogów Polski.

Sam program był niezwykle szeroki. Jak ktoś złośliwie zauważył — niewiele różnił się od socjalistycznego

Oficjalnie PKW wystawił swych kandydatów w kurlii I, IV, V. Wszyscy oni wywodzili się z inteligencji, drobnej burżuazji oraz przedstawicieli kleru katolickiego.

Ażes do Polskiego Komitetu Wyborczego zgłosiły jeszcze dwa komitety: KOMITET WYBORCZY 5 ZRZESZEN PRZEMYSŁU I HANDELU oraz POLSKI CENTRALNY KOMITET WYBORCZY. Pierwszy grupował wielkich przemysłowców łódzkich, którzy występowali pod hasłem ratowania zagrożonego przemysłu i wystawili swoją listę w kurlii II. Drugi był agenturą PKW na kurlię VI — robotniczą Grupował element chładek z zacofanych sfer robotniczych i rzemieślniczych, którym przewodził ks. Albrecht.

* * *

Z dość dużym powodzeniem działała na gruncie łódzkim Liga Państwowości Polskiej. Pod jej ideowym przewodnictwem powołano 14 grudnia 1916 r. POLSKI CENTRALNY DEMOKRATYCZNY KOMITET WYBORCZY. Komitet ten stał na stanowisku niepodległościowym, przy czym popierał wyraźnie niemieckie koncepcje „niepodległości Polski”. Przy organizacji wieców i wydawaniu literatury wyborczej wyróżnili się aktywnością: dr Sterling, prof. Remiszewski, dr Tomaszewski, mec. Tujakowski i inni. Warunki agitacji miał Komitet dobre, bowiem polskie gazety łódzkie popierały jego główne hasło — niepodległości.

Zwierzchnictwo ideowe tego Komitetu uznał NARODOWY ROBOTNICZY KOMITET WYBORCZY zorganizowany przez Narodowy Związek Robotniczy, który nastawiał się na działalność wśród klasy robotniczej i drobnych rzemieślników. Dołączyła jeszcze spora grupa pracowników tramwajowych, pracowników elektrowni i gazowni oraz Zw. Zaw. „Praca”.

Na czele Komitetu stali: Kaczmarek, Pokorski, Tomczak i Jaranowski. Rozwinęli oni na szeroką skalę propagandę przedwyborczą. Zorganizowali ponad 20 wieców wydając jednocześnie mnóstwo literatury wyborczej. Atakowali przede wszystkim socjalistów, głównie lewicę. Napadali na SDKPiL, rzucając kalumnie, że miała zrywać białe orły na Widzewie; na PPS-Lewicę, która rzekomo została opanowana przez żywoły obce; a w Warszawie szła nawet ręką w rękę z żydowskim Bundem.

PPS-Frakcji Rewolucyjnej wytykali, że w zależności od sytuacji zawieszają sztandar czerwony, albo chorągiew narodową.

Oprócz szermowania na każdym kroku hasłami antysemitkami i nacjonalistycznymi, NRKW mienił się jedyną grupą, która miała stać na gruncie niepodległości. Występowali pod hasłem: „Pracy i chleba”, „Wolności dla narodu”.

* * *

Najbardziej solidarnie wystąpili Niemcy, którzy wystawili swoich kandydatów we wszystkich 6 kurliach, powołując ZJEDNOCZONY NIEMIECKI KOMITET WYBORCZY. Literatura wyborcza, którą się ten komitet posługiwał była nacechowana ogromnym zarozumiałstwem i butą. Ciągłe podkreślano swoją wyższość, a „Deutsche Lodzer Zeitung” pisała: „Jest świętym obowiązkiem każdego Niemca posiadającego prawo wyborcze zapisać się na listę wyborców. Nikt nie powinien się spóźnić w wykonaniu swego obowiązku, aby im kiedyś nie trzeba było powiedzieć, że potomkowie tych ludzi, którzy Łódź wielką uczynili, okazali się stać w godzinie rozstrzygającej”.

Zjed. Niem. Kom. Wyb. pociągnął za sobą niemal wszystkich Niemców i osiągnął duże sukcesy.

Wybory od podszewki

(Dalszy ciąg ze str. 1)

wyjazdem na stałe do Australii. To dopiero teraz wychodzi.

SMIERĆ BIUROWA

Marian R. z ulicy Krakusa 31 i Józef P. z Pabianickiej 142 zostali pominięci w spisach wyborców. Gdy interweniowali, stwierdziłem, że w księgach meldunkowych brak ich nazwisk. Wtedy obaj zjawili się u mnie i okazali dowody osobiste, w których figurowało potwierdzenie zameldowania — u pierwszego od roku 1956, u drugiego zaś aż od roku 1943. Z powodu nieuwagi „prowadzącego meldunki” (dawny system, zastąpiony obecnie przez referaty przy Prezydium DRN), ci dwaj obywatele dotychczas dla nas „nie istnieli”. Ślad ich istnienia można odnaleźć dopiero w Wydziale Dowodów Osobistych Komendy Miejskiej MO.

Znacznie gorzej powiodło się Genowefie P., która półtora roku temu przeprowadziła się z całą rodziną z mieszkania przy ul. Plockiej do ukończonego właśnie domku teściowej przy ul. Nowoprojektowanej w naszej dzielnicy. Ponieważ domek nie odpowiadał wymaganiom pod względem estetyki i stanu sanitarnego, Wydział Architektury i Nadzoru Budowlanego nie zatwierdził go. W efekcie ta siedziba licznej rodziny nie ma numeru, więc formalnie nie istnieje. Lokatorzy domu nie są nigdzie zameldowani i nie figurują na listach wyborców.

Zastanawialiśmy się co zrobić z tym fantem. Krewka pani Genowefa nie miała jednak cierpliwości czekać, „nieukleka” nam z gmachu. Gdzie jej teraz szukać?

GDZIE TA ULICA, GDZIE TEN DOM?

Szukając Genowefy P. stwierdziliśmy, że w naszej dzielnicy są dwie różne ulice o nazwie „Nowoprojektowana”. Na dodatek żadna nie figuruje na planie miasta. Ktoś mnie pocieszył, że w Warszawie istnieje około 15 Nowoprojektowanych. Tak je tymczasowo „chrzcili” budowniczymi nowych osiedli i tak już zostało. Warto sprawdzić, ile Nowoprojektowanych mamy w tej chwili w całej Łodzi...

Ulice powstają, ulice giną. Jeden z obwodów melduje, że z ulicy Skoczowskiej nikt się nie zgłasza do sprawdzania list. Skoczowska jest w nowym planie Łodzi, jedynie sprawdzić na miejscu. Po długich poszukiwaniach odkrywamy wreszcie, że na miejscu byłej Skoczowskiej wznoszą się mury nowych bloków Osiedla 1 Maja. Wszystkich dawnych lokatorów wykwaterowano, domki wyburzono...

Szutki kojarzenia faktów trzeba się uczyć „na bieżąco”.

PODRÓŻNICY

Od 27 marca musieliśmy wprowadzić dyżur populudniowy w celu wydawania zaświadczeń o prawie do głosowania osobom, które w dniu wyborów znajdują się poza Łodzią. W ciągu tygodnia wydaliśmy już 173 zaświadczenia, ale ta akcja dopiero się zaczyna.

KŁOPOTY „ZAMKNIĘTYCH”

Jutro, to jest 6 kwietnia, składają listy wyborców tzw. obwody zamknięte. Takich obwodów mamy trzy — dwa szpitale i jeden zakład specjalny. Komisja obwodowa musi wysłać do miejsca zamieszkania każdego pacjenta odpowiednie piśmanko, by uzyskać stamtąd dla niego zaświadczenie o prawie do głosowania. Łącz-

nie w obwodach zamkniętych mamy ponad 800 osób. Personel będzie głosował w swoich obwodach terytorialnych. Ale wylania się problem: Szpital nr 10 w dniu 16 kwietnia ma ostry dyżur. Gdzie oddadzą głosy lekarze, pielęgniarki i cały personel fizyczny? By głosować w obwodzie zamkniętym, będą musieli zaopatrzyć się w zaświadczenia o prawie do głosowania.

Zakład Specjalny przy ul. Wróblewskiego 10a obsługuje siostry zakonne, które tam również mieszkają. Z tej racji należą do obwodu terytorialnego. Ale na prośbę dyrektora Zakładu decydujemy się włączyć je do głosowania w obwodzie zamkniętym.

Oto niektóre tylko kłopoty „nietypowych” obwodów. Pojawily się, zanim jeszcze przystąpiono w nich do sporządzania list.

LISTY WRACAJA

Od 27 marca napływają z powrotem listy wyborców z obwodów, które zakończyły sprawdzanie. 31 marca mamy już wszystkie.

Przez pierwsze dni sprawdzania list utrzymywaliśmy się pod względem frekwencji wyborców na czolowym miejscu wśród dzielnic łódzkich. Potem spadliśmy na szary koniec. Ale ostatniego dnia, tym razem już ostatecznie, znowu „objęliśmy prowadzenie”.

Mieszkańcy Górnej sprawdzili spisy wyborców w 99,3 procentach. Tylko 12 obwodów z liczbą 73 nie osiągnęło pełnych stu procent. Najgorzej spisał się obwód nr 282 z siedzibą w świetlicy Elekciepłowni. Piętro wyżej, w tym samym budynku, mieliśmy Dzielnicową Komisją Wyborczą. Czyżby słaby wynik był następstwem „samospokojenia” z racji towarzystwa zwierzchności? Z pewnością również trudności „obiektywne” — duży teren obwodu, odległość od lokalu.

Obwód 280, urzędujący w tym samym pokoju, co wspomniany poprzednio, zakończył akcję z wynikiem stu procentowym.

Zwrócone listy należało przejrzeć karta po karcie i sprawdzić, czy podane wyniki ilości sprawdzonych nali” budowniczym nowych osiedli i tak już zostało. Warto sprawdzić, ile Nowoprojektowanych mamy w tej chwili w całej Łodzi...

DZIEŃ WYBORÓW

Komisje obwodowe będą urzędowały tego dnia przez cały czas otwarcia lokali wyborczych, w pełnym 9-0-sobowym składzie.

Co dwie godziny, poczynając od ósmej rano należy składać do komisji dzielnicowej meldunki o frekwencji. Powtórnie, jak przy akcji sprawdzania list, „przydzielamy” po kilka komisji na każdy telefon bezpośredni w DKW.

Członkom komisji obwodowych, którzy cały dzień spędzą w lokalach wyborczych, trzeba zapewnić wikt. Po dokładnym obliczeniu okazuje się, że mamy na ten cel ściśle po 9,70 zł dla jednej osoby. Menu będzie więc raczej skromne.

* * *

Najgorętszy okres przygotowań mamy już poza sobą. W miarę upływu czasu „machina” organizacyjna funkcjonuje coraz sprawniej. Pięć dni przed wyborami nadejdzie „cisza”. Od tego czasu nie wolno już wносить żadnych poprawek do list. Teraz czeka nas jeszcze kontrola wyglądu estetycznego wszystkich 73 lokali w obwodach.

Kończąc redagowanie notatek z pamiętnika. Jest już po północy, więc 6 kwietnia. Pozostało jeszcze 10 dni.

STANISŁAW CZAJKOWSKI

EDWARD ETLER

Lament dojrzałego wieku

„Bohaterkę poznajemy w chwili, gdy oczekuje w celi na rozprawę sądową. Jest oskarżona o zamordowanie narzeczonego swojej siostry, młodego muzyka. Przewód sądowy ma ustalić czy było to morderstwo z premedytacją, jak głosi akt oskarżenia, czy zabójstwo w afekcie, co jest teza przyjęta przez obrońcę dziewczyny.

Tytuł filmu „Prawda”.

Reżyser — Henri Clouzot, autor m. in. pamiętnej „Ceny strachu” i innych „mroźnych krwawych” opowieści filmowych.

W roli głównej — Brigitte Bardot. Tym razem nie „kociak”, ale znakomita aktorka młodego pokolenia.

„Prawda” jest filmem niezwykłym. Nie sprawia tego ani majsterstwo reżysera, ani nowum — talent aktorski Bardotki. Nie sprawia też tego scenariusz, zarysowujący środowisko i sytuację z charakterystyczną oszczędnością i umiarem, scenariusz który z dużą precyzją piętrzy kolejne akty dramatu. Niezwykłość filmu Clouzota, to przede wszystkim uzewnętrznienie. Spontaniczne omalżewanie pojęcia, które określić można trzema słowami: lament dojrzałego wieku.

Lament dojrzałego wieku — to tym razem echa „pisana między kadrami”. Ale nie tylko — tutaj lament dojrzałego wieku gra pierwsze skrzypce! I ta zarówno jako infantylna zauważona przez reżysera i piętnowana jak też zgola inny objaw tego samego lamentu... Mam na myśli owo specyficznie obserwowane edukatorskie — którego „Prawda” jest niewątpliwym pokazem, to zdziwienie starszego pana — istniejące w podtekście relacjonowanych sytuacji. Lament dojrzałego wieku, jest w tym wypadku lamentem reżysera. Lamentem tym bardziej charakterystycznym, że film zrobiony jest z ujmującą szerokością.

Ale to nie wszystko — „Prawda” jest filmem arcytendencyjnym, oczywiście w najsympatyczniejszym, poehlnym pojęciu tego słowa.

„Prawda” mieści w sobie zatem charakterystyczne cechy clouzotowskiej roboty. Obok drobniawej obserwacji obyczajów, obok przekonującego oznaczenia i różnicowania postaci, bledzie to jeszcze pointa filmu. Adwokat prowadzący obronę i zwalczający przeciwnika w czasie trwania procesu — no nieoczekiwanym finale sprawy klepie swego antagonistę po plecach... Bo jutro on, obrońca, w następnym procesie stanie za barierką oskarżyciela...

Co skłoniło Clouzota do obrony takiego rozwiązania? Jego zamierzanie do niespodzianki? Czy modna maniera „nowa fala” rozkładała się nad dramatem młodego pokolenia, nad jego osamotnieniem w obliczu zła, reprezentowanego przez ustalony porządek świata? W każdym razie i tutaj przewija się pierwotny lament, ideal zaskórnej, graniczącej z nutką parodystyczną. Ten lament, to w twórczości Clouzota czynnik raczej nowy. Może dlatego reżyser oddaje mu się z gorliwością neofity?

„Prawda” mimowolnie (?) ilustruje tezę, dawno już przyjętą przez dojrzałego widza. 1) Młodzi nie bawią się i prowadzą. 2) Młodzi nie robią sobie niebawo ostrzeżeń „znającego życie” starszego pokolenia. Młodzi niepoprawni.

W filmie rzecznikiem „trzech tez” jest z jednej strony areopag sędziowski, z drugiej... widzownia. Clouzot przeciwstawia też stanowisko odmienne, reprezentowane przez przedstawicieli „cyganerii”. I oto konfrontacja ujawnia, że obie postawy są jednakowo niepoprawne wobec obiektywnej relacji obiektywu. Odsłaniają się kulisy dramatu i wychodzi na jaw, że motorem postępowania dziewczyny była najwyklesza, staroświecka miłość, miłość egzotyka w atmosferze eynizmu, miłość nierealna w zestawieniu z wymowa faktów.

Przy okazji filmu Clouzota mówi się o niespodziewanym wybuchu talentu Brigitte Bardot, ba — swego czasu, opowiadając o realizacji filmu, „Przekrój” dość dokładnie relacjonował systemy reżysera, wydobywającego na jaw ukryte (!) zdolności aktorki. Wypada więc przypomnieć inny doskonały film — tym razem reżyserii Claude Autant Lara („Na wypadek nieszczęścia”), gdzie Brigitte Bardot nie gorzej niż w „Prawdzie” zademonstrowała swe możliwości aktorskie, lecz dziwnym trafem jakoś tego nie zauważono.



Aleksandra Zawierusznanka

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

„Mąż swojej żony”

Reżyser Stanisław Bareja, który debiutuje „Mężem swojej żony” jako samodzielny twórca, nie poszedł modną dla niektórych, drogą eksperymentowania i szukania... absurdu. Dopomógł mu w tym Jerzy Jurandot, autor „Męża Fołtasiówny” — utworu scenicznego w którym napisano scenariusz. Autorzy filmu wyszli ze słusznego chyba założenia i zechcieli zrealizować bezpretensjonalną komedię bawiącą widzów w sposób prosty i kulturalny.

Co prawda, tempo pierwszej części filmu mogłoby być nieco żywsze, a pointy poszczególnych gagów i dowcipów słownych bardziej wypunktowane. Ale pomimo tego, „Mąż swojej żony” bawi i śmieczy publiczność przede wszystkim swoją bezpre-

sjonalnością, nie wymaganą historią pary bohaterów. On jest młodym kompozytorem, ona gwiazdą polskiej lekkiej atletyki. A wiadomo, jeżeli gwiazda sportu — to sympatie tłumów są tylko po jej stronie. Mąż — kompozytor, choć nagradzany w... Anglii, jest tylko jej mężem; mężem „torpedy bieżni” — Fołtasiówny.

Komedia Jurandota i Barei bawi, a także kłuje nas wszystkich; i tych, którzy bałowalczko wielbią nasze sportowe znakomitości, i tych wszystkich nie dostrzegających sportu, owych „super-intelektualistów” zapatrzonych tylko w koniec własnego nosa. Humor „Męża swojej żony” oraz satyryczne akcenty zawarte w tym fil-

mie są po prostu ludzkie — wytykają nam nasze śmiechy, ności i wady, ale nie straszą nas np. koniem chodzącym po schodach lub zbiegłym yeti.

Intencje autorów zrozumieć wykonawcy. Wszyscy chyba bez wyjątku aktorzy w tym filmie wiedzą czym widza mają zabawić. Bronisław Pawlik gra męża Fołtasiówny bardzo dyskretnie, nie nadużywa gestu, nie stosuje przesadnych gier. Debiut filmowy Aleksandry Zawierusznanki i Elżbiety Czyżewskiej wypadł bardzo przyjemnie. Obie reprezentują przede wszystkim młodość, kobiecy wdzięk, i całkiem dobre aktorstwo. Warto też wymienić pozostałych

wykonawców: Wandę Łuczycą, Mieczysława Czechowicza, Wiesława Gołasa, a także znanych i sympatycznych panów: trenera Feliksa Stamma, oraz redaktora Bohdana Tomaszewskiego w epizodach sportowych

Kończąc recenzję tego udanego i miłego filmu nie sposób pominąć Marka Sarta — autora ciekawej muzyki i nowej piosenki. A więc, chyba „Szczęściarz Antoni” nie był tylko wyjątkiem. Miłe i zabawne filmowe komedie polskie znowu wkraczają na nasze ekrany.



MARIA KORNAŁOWSKA

Kobieta w filmie

„Nowa fala” odmłodziła i odświeżyła skostniały już w rzemieślniczej rutynie światek francuskiego filmu. Przyniosła nowe tematy, nowy styl, nowe nazwiska i twarze. W roku 1957-mym kobietą francuskich ekranów była bezapelacyjnie Brigitte Bardot. Ale w roku 1961-tym?... Odpowiedź nie jest już taka zdecydowana. A i sama Brigitte ma chyba niejaki wątpliwość co do tego, skoro od pewnego czasu zaczyna uciekać się do środków mających sciągnąć na nią ponownie uwagę i zainteresowanie opinii publicznej. Odpowiednio rozdmuchane „tragiczne” perypetie małżeńskie, próba samobójstwa, mały skandal wywołany przez zawsze wernego Vadima wokół filmu „Cugle na szyi”... No cóż, reklama jest dzwignią handlu. A w świecie filmowym wszystkie chwyt reklamowe są dozwolone.

„Nowa fala” zerwała przede wszystkim z tzw. systemem gwiazd. Zerwała w zasadzie tylko pozornie. Od-

rzuciła stare, uznane, bardzo kosztowne gwiazdy na rzecz nowych, nieznanych, a co za tym idzie, tanich. Młodzi realizatorzy starają się robić filmy jak najmniejszym kosztem. I dlatego nie mogą pozwolić sobie na angażowanie Brigitte Bardot lub Martine Carol. Szukają więc swoich gwiazd w bliskich im środowiskach młodzi, w kawiarniach i w „Quartier Latin”.

Jeszcze kilka lat temu chcąc zrobić karierę filmową trzeba było przez długi czas statystować, grać małe, epizodyczne role, wydeptywać mozolnie ścieżki przyszłej sławy. Taka była przecież droga samej B. B. Dziś kandydatka na gwiazdę zdobywa firmament ekranu, od razu, wstępnym szturmem. Dziewczeta „nowej fali” nie posiadają dzięki temu absolutnie żadnego przygotowania aktorskiego, żadnego otrzaskania z grą w filmie. Przydaje im to być może uroku i świeżości. Zresztą grają właściwie same siebie, albowiem akcja większości

tych filmów rozgrywa się w środowisku młodzi, Dodajmy, zamożnej młodzieży pasjonującej się najnowszymi modelami „Jaguarów” i zalegającej plaże Saint-Tropez.

Doświadczenie życiowe młodych aktorek zamyka się mniej więcej w tym samym kręgu. Ma to swoje dalsze konsekwencje. Przekreśla mit o kopciuszkach leżący u podstaw kariery klasycznej gwiazdy. Nowe gwiazdy nie parają się filmem po to, by zrobić „kariere”, by awansować społecznie i ekonomicznie, ale po prostu dla zabawy dla rozrywki, dla miłego spędzenia czasu, by oamniej nie wiazać z filmem nadziei na wielką przyszłość. Jest to pierwszy od lat cios zadany w mitologię kina.

Gwiazdy „nowej fali” reprezentują styl młodzieżowy, akcentują swą młodość i dziewczęcość. B. B. czy Martine Carol były zawsze, niezależnie od charakteru postaci jaką kreowały, dojrzałymi kobietami. Marie La-

foret, Bernadette Lafont, Francoise Brion są zawsze młodymi dziewczętami. Ich kobiecość, jest jeszcze zawalowana, otulona mgiełką poezji. Ich bezwiedny, zamaskowany erotyzm, jest bardziej wyrafinowany niż żywiołowy, agresywny i pokazowy erotyzm sex-bomb. Nie mają w sobie nic z sentymentalizmu podlotków w stylu przedwojennej Danielle Darrieux i przekornych

(Dalszy ciąg na str. 4)





„Korsarze Pacyfiku”

W 1954 roku radziecki tankowiec „Tuapse” został napađnięty i uprowadzony przez stacjonujące na Tajwanie okrety wojenne Czang-Kai szeka. Dopiero po 13 miesiącach części załogi udało się wyrwać z niewoli. Na tle tych wypadków została osnuta akcja filmu „Korsarze Pacyfiku”. Autorami scenariusza są uczestnicy owych wydarzeń: kapitan tankowca — W. Kalfinia i jego zastępca — D. Kuźniecowa oraz dramaturg G. Kołtunow.

Sam pomysł sięgnięcia do tak ciekawego wydarzenia mógł dostarczyć interesującego materiału do filmu sensacyjno-awanturycznego i psy-

chologicznego. I stałoby się tak niezawodnie, gdyby realizatorzy filmu docenili siłę wymowy samych faktów, zawierających duży potencjał dramatyczny. Umiejętne ukazanie ich na ekranie, z maksimum obiektywizmu, przy zastosowaniu powściągliwej narracji i przyznaniu pierwszeństwa obrazowi — jako dominancie wyrazowej sztuki ekranu — pozwoliłoby na stworzenie filmu z pogranicza dokumentu, dramatu psychologicznego i romansu awanturycznego. Tymczasem realizatorzy, chcąc wzmocnić siłę sugestii, przeprowadzili zabieg, do którego twórcy filmowi uciekają się raczej nie-

chętnie, gdyż — jako przeniesiony z dziedziny literackiej — nie jest najszcześliwszym nośnikiem ekranowej narracji. Mam na myśli powierzenie narracji jednemu z uczestników wspomnianych wydarzeń, który prócz właściwych partii dialogowych wypowiada swą kwestię zza ekranu. Owo połączenie pierwiastka subiektywnego z obiektywnym — tu głównym komponentem całości, jakim jest autentyczność fabuły — robi wrażenie półśrodka, nie będącego w stanie poprawnie wywiązać się z zadania w filmie o walorach dokumentu.

Pewne sekwencje sugerują, iż w założeniach twórców

„Korsarzy Pacyfiku” było przeprowadzenie pewnego rodzaju studium psychologicznego, studium reakcji charakterów ludzkich, postawionych w wyjątkowej sytuacji. Taka koncepcja wymaga oszczędnej gry aktorskiej, gry na wyciszonym tonie, czego, niestety, nie można powiedzieć o interesującym nas filmie. Grzeszy on nadmiarem słowa. Zbyt rozbudowane dialogi przejmują funkcję należną przede wszystkim obrazowi, stawiają kropki nad „i”, zawężając margines pozostawiony indywidualnemu odbiorcy — do niebezpiecznej granicy moralizatorstwa i lopotologii. Widz współczesny, odzwyczajony od palety słów i gestów, wymaga subtelniejszych środków wyrazowych i bardziej powściągliwego sposobu przekazywania treści.

Powyższe uwagi dotyczą bardziej I serii („Korsarze Pacyfiku” są filmem dwuseryjnym), która w układzie zastosowanym przez reżysera, pełni rolę zbyt rozbudowanej ekspozycji, bowiem w centrum uwagi widza znajdują się wydarzenia ukazane w drugiej części. Tu dopiero akcja nabiera właściwego tempa i zyskuje na zwartości dramatycznej.

Mimo pewnych braków scenariusza mamy tutaj do czynienia z logicznym powiązaniem poszczególnych epizodów i konsekwentnym ciążeniem ich ku końcowi. Momenty pełne spieć, autentyzm ukazanych wydarzeń, ciekawe sylwetki, zwłaszcza Chińczyków, oto walory, dla których warto obejrzeć „Korsarzy Pacyfiku”.

Film został zdubbingowany, niestety, nie jest to dubbing najlepszy. Wina w znacznej części leży po stronie samych dialogów, zbyt odbiegających od idealu dialogu filmowego.

TERESA GAJDEROWICZ

Nowe filmy WFO

Wytwornia Filmów Oświatowych oddała do rozpowszechnienia dwa nowe filmy.

„Wesele łowickie” jest barwną impresją na temat zanikającego już obrzędu weselnego. Bogaty materiał etnograficzny i folklorystyczny stawia ten film w rzędzie dokumentów rekonstruujących i utrwalających przejawy ludowej kultury, ludowych strojów, tańców i obycajów. Na ekranie ożywiają tańce, pieśni, mienią się pięknymi barwami stroje. Rzeczowy komentarz dopowiada i informuje widza.

Z innej nieco dziedziny sztuki, bo z architektury, malarstwa i rzeźby czerpali materiały do swego filmu twórcy „Ratusza poznańskiego”

go”. Chyba Poznań, a jej ratusz w szczególności są tak znane i popularne jak np. Wawel czy Kości Mariacki. I toteż trzeba chwalić wybór tematu filmu, który w sposób popularny, a zarazem niebanalny i nieschematyczny ukazuje architekturę ratusza, jego poszczególne sale, zabywki w nim zgromadzone. Do jasny i zwięzły wykład genezic, losach ratusza (te dziejów historycznych). Piękne ujęcia architektury wewnątrz, elewacji ratusza stanowią poważny walor filmu. Autorami „Ratusza poznańskiego”, a także „Wesela łowickiego” jest reż. Roman Woźniakowski, operator Kazimierz Mucha.

A. N.

TADEUSZ ŻAKOWIECKI

KSIĄŻKI O FILMIE

Książki dotyczące zagadnień filmu są niewątpliwie coraz ciekawsze i coraz liczniejsze: wprawdzie z trudem, ale ciągle zdobywają sobie nowych czytelników.

To brzmi mimo wszystko optymistycznie. Nakłady tych wydawnictw są przecież śmiesznie niskie w porównaniu z milionami ludzi, którzy chodzą do kina, a dziesiątkami czy setkami tysięcy tych, którzy czytają popularne a nie kiedy i ambitne magazyny. Nawet te kilka, może kilkanaście tysięcy „świadomych” kinomanów uczęszczających regularnie do kin studyjnych, zgrupowanych wokół Dyskusyjnych Klubów niezbyt chętnie musi sięgać po słowo o filmie pisane, jeśli zważyć, że „Trzy portrety” — świetne szkice Bolesława Michałka (między innymi o popularnym u nas Fellinim), wydane przed dwoma laty w nakładzie bodaj półtora tysiąca egzemplarzy — jeszcze dziś można spotkać w księgarniach.

Ponieważ zdajemy sobie sprawę, że prasa ma wyjątkowo duże założeń w informowaniu o książkach z dziedziny filmologii, śpieszymy zwrócić uwagę na dwie wydane ostatnio pozycje. W pierwszym rzędzie chodzi o Film — książkę wybitnego filmologa angielskiego, Rogera Manvella. Jest to rzecz podstawowa, od niej winien zacząć lekturę człowiek, którego zainteresowania filmem wykraczają poza bierną konsumpcję bieżącej produkcji.

Książka Manvella, dzięki swoim skłonnościom do obiektywizacji, cieszy się ogromną stosunkowo popularnością. Była dotychczas tłumaczona na kilka języków i wielokrotnie wznawiana. A jeśli zgodzimy się w pełni ze sformułowaniem wydawcy — „jest ciągle jedną z najlepszych prac o filmie, bowiem w sposób przystępny, a jednocześnie naukowo precyzyjny wprowadza czytelnika w całość kształt problemów filmowych, uwzględniając wszystkie ich aspekty: estetyczne, techniczne, ekonomiczne i społeczne”.

Szkice o filmie polskim***) Bolesława Michałka — jednego z polskich krytyków filmowych — są książką, która skupia się przede wszystkim nad problemami najnowszej kinematografii rodzimej. Koncepcja pierwszej części pracy jest dość oryginalna, Michałek próbuje spojrzeć na film pod kątem jego przydatności jako dokumentu epoki dla widzów za lat pięćdziesiąt. Nazywa to zapuszczeniem pierwszej sondy — cząstkowej i niedostatecznej — ale sięgającej aż do fundamentów.

Do jakich dochodzi wniosków?

„Film polski ostatnich kilku lat w zasadzie przeszedł obok współczesności polskiej, ukazał niewiele z jej wewnętrznego obrazu, a tym bardziej — z jej wewnętrznej logiki”. Ale „przeszedł mimo polskiej współczesności nie dlatego, że brak mu było talentów lub możliwości rozwoju. Filmowcy zafascynowali się inną rzeczywistością, niż ta, która ich otaczała. Film polski — w swoich najwybitniejszych osiągnięciach — rozlał się szeroko poza wokół tematu wojny, cierpienia, bohaterstwa — odcinając im rychło ich walor aktualności, a spoglądając na niego z pozycji odwiecznego dramatu Polski i Polaków”.

W części następnej Michałek sumiennie i interesująco analizuje cykl filmów, dla których ukuto wspólną nazwę „szkoła polska”. A wreszcie zajmuje się dość gruntownie i obszernie problemem filmu rozrywkowego, nie ograniczając się bynajmniej do filmu polskiego. Zresztą w cerych szkicach autor powołuje się często na wybitne osiągnięcia kinematografii europejskiej i światowej, czyniąc tym książkę bogatszą i ciekawszą.

*) Roger Manvell: „Film”. Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe. Warszawa, 1960. Cena zł 35 — str. 287 (w tym fotosty).
**) Bolesław Michałek: „Szkice o filmie polskim” W.A.F., Warszawa, 1960. Cena zł 20 — str. 168.

KOBIETA W FILMIE

Dokończenie ze str. 3

panienek a'la Dany Robin. Są po prostu nowoczesnymi dziewczynami, bez wielkich namiltności i bez młodzieńczych złudzeń („Igraszki miłości”, „Martwy sezon miłości”, „Piękny wiek”). Nie przywiązują do niczego nadmiernej wagi. Traktują życie trochę jak sport, a trochę jak nieco zmęczoną zabawę. Nie uznają żadnych zakazów ani nakazów moralnych i społecznych. Ubiegają się niezdolnie, swobodnie i bezpretensjonalnie. Ale każda z nich, Marie Laforet, Marie Dubois, Aleksandra Stewart, Françoise Prevost, potrafi zachować swój własny oryginalny styl sylwetki, uczesania, stroju i zachowania.

Dużą zasługą „nowej fali” jest właśnie dokonanie wyłomu w standardowej, rzeźby można, seryjnej produkcji gwiazd. Jeszcze do niedawna tworzono je w sztyku na kształt i podobieństwo Lollobrigidy lub Brigitte Bardot. Obecnie każda początkująca gwiazdeczka stara się wszelkimi sposobami zachować własną indywidualność i osobowość. Warto jednak zanotować na marginesie, iż wpływ młodych dziewcząt, lansowanych przez filmy „nowej fali” na styl i modę kobiecą, jest, jak dotychczas, bardzo jeszcze wąski i ograniczony.

nych tylko kręgów, kręgów tzw. złotej młodzieży, do snobistycznych klanów młodzieżowych. „Nowa fala” prezentuje bowiem styl życia właściwy tej młodzieży i bliski jej pod każdym względem. Natomiast tzw. szerokie masy, zwłaszcza po za Paryżem, holdują nadal starym gwiazdom. Nowe są bardziej ekskluzywna, bardziej mimo wszystko oryginalna i stylowa, dlatego trudniejsze do naśladowania i masowego rozpowszechnienia.

Na wspomniane wyżej zjawisko wpływa również specyficzna metoda młodych reżyserów — metoda zachowania dystansu wobec ukazanych wydarzeń i postaci. Widz pozbawiony możliwości absolutnej identyfikacji z bohaterem traci ów bezpośredni i spontaniczny kontakt będący podstawą magicznej siły oddziaływania filmu na świadomość ludzką. Nie utożsamiając się całkowicie z bohaterem filmu widz przestaje go tym samym bezkrytycznie naśladować. Jest to już drugi cios w mitologię kina zadany ręką młodych twórców francuskich. Niemniej, moda jak to moda — kołem się toczy. Nawet na ulicach naszych miast zobaczyć już można coraz więcej dziewcząt w stylu Jean Seberg, ulubionej gwiazdy „nowej fali” (nawlasem mówiąc kieriera Jean Seberg nie jest typowa gdyż debiutowała ona znacznie wcześniej w „Świętej Joannie” i „Witaj smutku”). „Nowa fala” nie stworzyła jeszcze wielkich nazwisk, oprócz być może opiewanej już przez samego Francois Mauriac, Maril Laforet. Przyniosła za to dużo nowych twarzy i dużo nadziei.

MARIA KORNATOWSKA



JEANNE VALERIE — MŁODA GWIAZDA KINEMATOGRAFII FRANCUSKIEJ, WYSTĘPUJĄCA W FILMACH „NOWEJ FALI” POD KIERUNKIEM REŻYSERÓW — VADIMA I CHABROLA

KARTKI

Z

NOTATNIKA

LITERACKIEGO

Doftana, 20^o listopada

Ranitko opuszczamy Bukareszt. Jedziemy samochodem do Sinaia. Niebo błogosławi nas deszczem, uparcie, przez cały dzień. Podobno pierwszy poważny deszcz jesienią w tym roku. Zaslania świat. Niewiele widzimy. Ale w miejscowości Doftana zatrzymujemy się, by spojrzeć bliżej na gorską cząstkę świata.

Doftana. Ten wyraz wiele mówi: rumuński Pawiak. Niedługo najcięższe więzienie polityczne, dziś muzeum, świątynia „pamiętek”, miejsce pielgrzymek. Właśnie niedziela, więc mimo niepogody, autokary zwożą liczne wycieczki. Przeważa młodzież. W jednej z sal obserwujemy uroczystość: przyjeżdżająca grupa składa przyrzeczenie pionierskie: będą walczyć o przyszły świat bez wzięcia, kajdan i tortur.

Kwalifikowana przewodniczka z uniwersyteckim wykształceniem udziela wyjaśnień w języku rosyjskim, wtrącając często wyrazy polskie. Studiowała filologię słowiańską.

Oto biuro dyrektora więzienia. Stół. Wśród różnych eksponatów — krzyż, w pobliżu leży bykowiec. Narzędzia męki, jedno już poświęcone odwiecznym kultem, drugie czeka na beatyfikację, ciągle przekłete, chociaż gdzieś już w muzeum. Jeszcze nie muzealne. Ileż w tych rzeczach obsesji. Krzyż błogosławiący bykowiec zbrodniarzy. Bykowiec czerpiący moc i uprawienie z krzyża. Aż ziemia wzdrygnęła się z odrazy. Przenośnia? Nie, ścisła relacja, fakt historyczny. Dnia 28 października 1940 roku groźny wstrząs ziemi nadwyrzeżył fundamenty i budynki więzienia. Zapowiedź, ostrzeżenie. Wkrótce potem, 10 listopada tegoż roku drugi, wielokrotnie potężniejszy wstrząs obrócił więzienie w zwałisko gruzów. Początek miu. Gniew ziemi. Przypadek, tzw. los ślepy z celnością jasnowidza uderzył właśnie w Doftanę mistrzowsko obliczoną „pociskiemi”. Przypadek, los. Na pewno. Oby więcej było takich przypadków! Oby rodzila je myśl ludzka. Przypomniał mi się romantyczny patos Mickiewicza:

Ludzie! każdy z was mógłby, samotny, więziony, Myślą i wiarą zwałić i podźwignąć trony.

I jakby odzew na cytate Informacja przewodniczki: oto cela, w której Gheorghe Gheorghiu-Dej przez cztery lata więzienne obmyślał jak obalić stary i zaprowadzić nowy ustrój.

Sinaia, 21 listopada.

Z deszczem i wichrem wpadliśmy do Sinaia. Tu już góry, sąsiednie szczyty dochodzą do 2500 m. Wiatr przemieniał się w wichurę, wichura w halniak, a deszcz mieszał się ze śniegiem. Po ciepłych dniach Bukaresztu i Konstancy zaskoczyła nas nagła zima.

Sinaia była letnią rezydencją królów rumuńskich.



SINAIA — Muzeul Peleş

Dawny pałac królewski w Sinaia, obecnie muzeum

STANISŁAW CZERNIK

MIEDZY STARYMI A NOWYMI LATY

Dziś jest ośrodkiem muzealnym, tutaj też Związek Pisarzy Rumuńskich posiada dom pracy twórczej. Był właśnie w remoncie, więc zastępczo umieszczono nas w innym budynku pokrólewskim.

Cały gmach pusty. Cisza. Zapowiadał się dobry pobyt. Od dziesięciu dni byłem w nieustannej podróży: Łódź — Warszawa — Łódź — Poznań — Łódź — Warszawa — Bukareszt — Konstancja — Sinaia. Pragnąłem odpoczynku.

Pokój jak pokój, zażądaliśmy w nim od razu. Gaz ziemny huczał w kafłowym piecu. Ciepło. Okno wychodziło na park. Zabiegało od lekkiego śniegu. Wzmagał się halny. Dzwoniły szyby. Drzewa w parku rzucały się niespokojnie. Na dwóch sąsiednich wieżach odzywały się zegary, nie zestrojone. Niewielka różnica, ale z tego powodu co siedem minut któryś z zegarów grał swoją godzinę. W nocy tej „muzyki” okazało się za wiele.

Położyłem się wcześniej. Z notatnikiem i książką. Uporządkowałem zapiski z Doftany. Zbyt makabryczne było to muzeum, bym zdołał porządkować spokojnie. Z tych przeżyć mógł powstać nawet załazek wiersza. Nie zmuszałem się. Niech okrzepnie.

Chciałem trochę poczytać przed snem. Władysław Machejek dał mi ostatnią swą książkę „Kto następny?” Jest tam opowiadanie z czasów okupacyjnych „Dzień się zaczyna”. Na pewno lektura nie do snu. Ale uzupełniała wrażeń dnia. Od kazamat Doftany przenosiła do gmachu SS Polizei na ulicy Pomorskiej w Krakowie. Bohater opowiadania znakomicie zorientowany w systemie tortur esesmańskich przedstawia trwogę spiskowca rozważającego w wyobraźni wszystkie formy katowania. Chce przyzwyczaić wyobraźnię do najboleśniejszych tortur, prześcignąć w pomysłowości zwyrodniałych sadystów, by w ten sposób jak najbardziej się uodpornić. Przeżywa w myśli wszystkie znane mu i nieznanne jeszcze wizje tortur. Czegóż tam nie ma! Całkowity przegląd wszystkich metod. A oto i taka scena z wyobraźni:

„W celi tortur nie byłoby dla mnie nic nowego, gdyby nie widok kobiety, w starszym wieku, na kolanach, która męską koszulą — bająką koszulą mojego ojca! — ścierała krew z podłogi. Bardzo się męczyła, ponieważ na rękach miała zębate kajdanki — amerykański, bardzo mocno ściskające. Po jej palcach także ściekała krew. Kiedy podniosła głowę, poznałem matkę...”

Nie mogłem dalej czytać. Wkrótce usnąłem.

I oto sen uzupełnił opowiadania Machejki. Widocznie wzmianka o koszuli ojca wywołała całą wizję. Ujrza-

łem we śnie, jakby wzywając się w osobę narratora, jak esesmani wnieśli nagle niby; kukłę straszliwą postać, z grobu wyrwaną, ale jeszcze półżywą, upiora z przeraźliwą twarzą, z oczami trupa. Ojciec.

Nie wiem, czy krzyczałem we śnie. Obudziłem się z łękiem, z biciem serca, sponony.

Właśnie zegar bił. Dwaście, godzina duchów. Poczuliśmy się nieswojo. Sen odbiegł. Szyby dzwoniły na alarm. Halniak potężniał. Jakieś drzewo runęło z łoskotem. Ochłodziło. Wiatr wywiał ciepło z pokoju. Zapaliliśmy gaz. Zahurkotało w piecu. Zegary dzwoniły raz po raz. Nieprędko uspokoiłem się. Dopiero nad ranem usnąłem.

Okazało się, że nikt nie spał dobrze tej nocy. Nie każdego męczyły makabryczne sny, ale wichura niepokoiła wszystkich. Mnóstwo zwałonych drzew. Komunikacja na drogach górskich przerwana. Nie doszła też do skutku projektowana wycieczka na sąsiedni szczyt.

Sinaia, 22 listopada.

Zwiedzamy pałac królewski, obecnie muzeum. Nie wart szacunku, którym go się otacza. Na pewno nie wart. Ale cóż z nim robić? Krepujący spadek po feudalach najgorszego typu. Skrzynia napeliona bogactwem, bogactwem banalnym, świadczącym o złym smaku i pretensjonalności byłych władców Rumunii. Nie chodzi mi nawet o architekturę tej budowli w jakimś sztucznie stylizowanym renesansie niemieckim. Ale to co w niej zgromadzono, stanowi właśnie zawartość „skrzyni” do robkiewicza, który stawczy się przypadkiem królem, zachował gust rotmistrza z prowincjonalnych koszar. Ostatecznie i to można by darować, pamiętając słynne zdanie Oxenstierny o umysłowości władców. Ale tu w tym pałacu szczególnie znacząca się pogarda dla kraju i narodu rumuńskiego.

Oprowadzający nas po muzeum przewodnik powie-

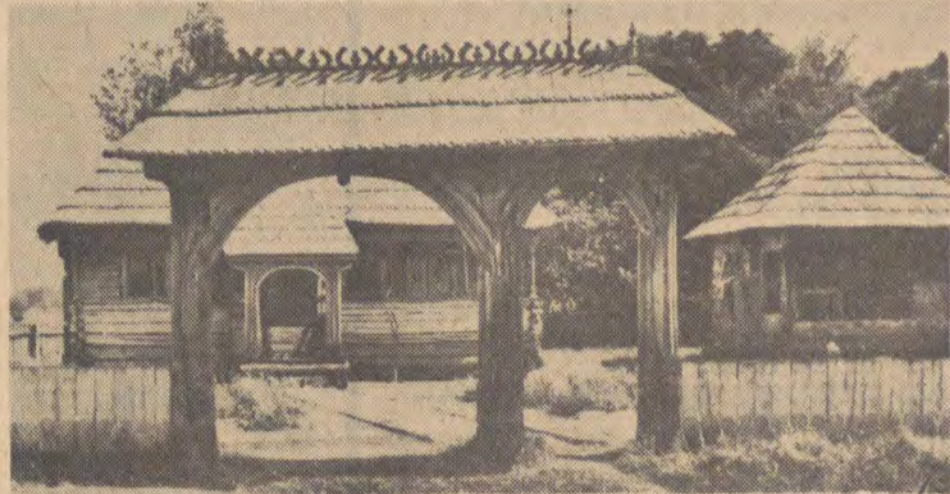
nawet w Afryce — podkreślił uprzejmy i sympatyczny dyrektor zakładów. Dziesięć tysięcy robotników, siedemnaście tysięcy traktorów w roku 1960. Innych danych, niewątpliwie ciekawych nie zanotowałem. Interesowały one przede wszystkim Machejka, który obfitą statystyką zapelniał zeszyt skropiony gestem potem umęczonego dyrektora.

Podwójnie byłam zdziwiony, niemal zażenowany. Z jednej strony żarliwość, z drugiej cierpliwość. Machejek — to synonim straszliwego reportera, który do zbierania podchodził jak do misy miodu. Tak mu smakują wszystkie szczegóły, wykazy statystyczne polyka plastrami z woskiem, wprost z barci. Wiecznie niesyty, więcej, więcej. Godzina, dwie. Jeszcze się nie zmęczył? Nie. Wreszcie dobiega końca. Pointą poematu pytanie — ile sam towarzyszy dyrektor zarabia, z premiami, bez premii, z dodatkami, bez dodatków. Dyrektor, męczennik, uosobienie cierpliwości i nieskalanej grzeczności, kluczy, wije się, próbuje zbroczyć od prostego pytania ku systemom ogólnym, ku metodom, zasadom. Nie Straszny reporter nie daje się zbić z tropu, mistrz „nagonki”, zapędma dyrektora w kunsztowne sieci, chwytając wreszcie ostatni, najsmakowitszy kęs. Dyrektor żegna nas z ulgą. Chyba żółki podczas tej wizyty. Uśmiecha się, zdawało mi się, cytrynowatym uśmiechem.

Reporterowi za mało. Udaje się w teren, zagląda nawet do mysiej dziury, męczy pytaniami inżynierów, majstrów, robotników, nie pomijając urodziwszych i młodszych robotnic.

Wreszcie: — Zastąpiłem na dobrą cziorbę i szlanczkę śliwownicy.

Nieprędko odpoczniemy po odwiedzinach w nowym świecie. Profesor Holban nawołuje do wyprawy w stronę starego świata. Wprawdzie niemało starodawnych zabytków jest w samym mieście, ale najważniejszy leży za miastem w odległości około 30 kilometrów. Zamek Bran. Feudalny, średniowieczny. Z XIV wieku. Nie w ruinach, całkowicie zachowany, do niedawna mieszkalny, dziś muzeum.



Z zabytków budownictwa wiejskiego w Rumunii

że tak, że bez wyjątku, dla pełnej jasności.

Są też zabytki w całej pełni groteskowe, np. apartament przygotowany dla cesarza Franciszka Józefa, zamierzającego przybyć z wizytą do Sinaia. Wizyte odwolano, apartament pozostał. Pałac w Sinaia — to muzeum między korony rumuńskiej. Z ulgą opuszczałem przybytek. I z odrazą.

Braszow, 23 listopada.

Między starymi a nowymi laty — tak się ułożył nasz pobyt w Braszowie. Miasto odwieczne, ale pierwszeństwo oddaje nowym czasom, których szczególnym wyrazem w tym grodzie jest traktor. Braszow stał się istotnie miastem traktorów, jako jedyny w Rumunii — i to na wielką skalę — producent tych maszyn. Znamy już daleko za granicą,

Państwo ludowe włączyło Bran do zabytków muzealnych.

Cisza, pustka, nikogo. Przechodzimy do dalszych sal. Miecze, jatagany, pugnały, mizerykordie. Zapach średniowiecza i Wschodu. Ale w kącie telefon. Dziedzińczyk. Napeliony muzyką: ni to oddalony fortepian, ni to przytłumione organy. Osobliwy koncert w tej pustce.

Wreszcie żywa istota — Biała, jedna z opiekunek muzeum, bezradna wobec gości. Dzwoni, wzywa kogoś przez telefon. Zjawia się wezwana: Czarna; aż za czarna jak na Rumunkę, ale nie badamy rodowodu.

Odtąd Biała i Czarna towarzyszą nam w wędrowce po zamku. Czarna otwiera, Biała zamyka pochód, Czarna po prawej, Biała po lewej stronie, czujne strażniczkę gmachu, wszystkie wiedzące, żywe kroniki i żywe inwentarze.

Oglądamy się jednak za kims trzecim.

— Kto tu tak gra?

— Wiatr.

Właśnie ten mistrz wiatr, który wwał nas do zamku. Czarna, główna interpretatorka, tłumaczy. Na wieży umieszczono (onego czasu) piszczałki, jak w organach. Wiatr na nich gra. Ciągłe gra. Nieustający koncert. Bo na tej wyżynie nie ma chwili bez wiatru; więc i bez muzyki. Najstarsi mieszkańcy zamku nie pamiętają przerwy w koncercie. A kto jest najstarszym mieszkańcem? Czarna, trzeci już rok pracuje w muzeum. Czasem tej muzyki za wiele, zwłaszcza w nocy, ale... Bez niej byłoby bardziej dziko.

A dziko tutaj naprawdę we wnętrzu zamczyska. Grube, zimne, śliskie mury, sklepienia tajemnicze, okna jak otwory studni, schody strojne, ciemne, groźne, jak wejście do kazamat. A są i kazamaty-ciemienna. Tu siedzieli zbrodniarze i „różni tacy” skazani na śmierć. A zabijano widłami — Czarna pokazuje okienkiem pobliskie wzgórze, na którym odbywały się egzekucje. Stąd jego nazwa: Wzgórze Widel.

Kilka kondygnacji. Meble średniowieczne, tegie, mocne, grube jak te mury. Są też i nowocześniejsze, sprzed stu-dwustu lat, sterane wiekiem kanapy, łózka pod baldachimami stare jak i portrety Marii Teresy, upiorne jak wszystkie w tym zamku. Więc tu ktoś mieszkał? Ostatnio, przed wojną, hra-

ANDRZEJ WOZNIESIENSKI

BALLADA PRACY

I

Piotr
Pierwszy —
Pot
pierwszy...
Nie carski (od szuby,
Od bani z muzyką),
Radosny,
a gruby,
muzycki!

Od chutnej zabawy
Aż ręce krwawiły,
Od młota, od baby,
Siekiera i piły.
Aż w długi się dęby
Toporzysk zginały,
Aż w Paryż i Stambul
Drzazg bryzgi miały!

A on tylko kropił,
Sprężony, potężny,
W żelaznym rozkroku,
Jak dźwig niebosiężny.

II

A w Hadze gdzieś —
burda.

Grubianin i grubas,
Hulaka przepity,
I nos niby bulwa —
Piter?
Rubens?

A może nie Piter?
A może nie Rubens?
On mieszkał wśród pętli,
Rubinów i ruin,
Gdzie odmet straszliwy rokoszów i puczów
Niósł tłum kapucynów

jak beczki z kapustą!

Był brudny, obdarty, jak mieszczuch obrzękły,
I brukwią

kosmatą

mu brzuch się trzęsło,

Na wpół obłąkany, kudłaty i czarny,
On uszy nastraszal jak uszka do czarek
I dymiąc włosami jak gdyby nad wrzątkiem
Rozmyślał.

A wszystko to było początkiem.

Początkiem, co zrodził i Saskie

i Saby...

Pot bije
(by stać się perłami Betsaby).

Pot bije
(by lśnić przez fontanny wersalskie).

Pot bije —
to pot

olimpijski

i carski!

Pot bije,
ów pot,

co na wieki przetopili

Artystę — w półboga, a cara — we chłopca!
Was płyn ten szlachetny okrapiał i żywił,
I czoło całował, i parzył pokrzywą.
Z was każdy był bogiem — o, raby rzemiosła!...

III

Koszula mi potem
Do pleców przyrosla.

Przeł. Z. GROSBART-ROMANOWSKI

ANDRZEJ BORKOWSKI

OD TACZKI DO ELEKTROWOZU

„Trzynastka”, opatrzona tablicą informacyjną „PAFA-WAG”, wiezie prosto do celu. Kilka kilometrów od śródmieścia Wrocławia rozciąga się olbrzymi, 60 — hektarowy teren największej w Polsce fabryki taboru kolejowego.

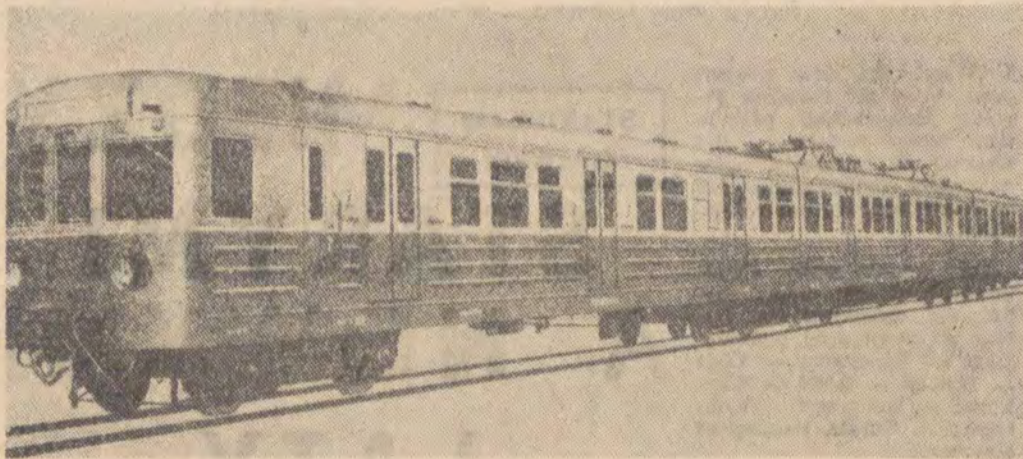
Niektórzy mówią: być we Wrocławiu i nie zajrzeć do „Pafawagu” to tak, jakby w Krakowie pominąć Wawel.

Trafiam akurat na koniec zmiany. Dobre kilkanaście minut stałem w portierni, przynęcony do ścian czekając momentu, kiedy uda mi się przecisnąć „pod prąd” strumienia wychodzących robotników. Musiałem odczekać do końca.

* * *

Kiedy w latach trzydziestych ubiegłego stulecia zapadła decyzja budowy linii kolejowej Wrocław—Oława, część zamówienia na tabor powierzono warsztatowi ślusarskiemu Gottfrieda Linkego, którego specjalnością był wyrób... taczek i wózków.

W niej 2 sporych rozmiarów „budyneczki” — lakiernia i stanowisko kontroli łóżek tocznych, gdzie przeprowadza się pomiary z dokładnością dziesiątych części milimetra. Resztę powierzchni zajmuje swego rodzaju taśma montażowa, wijąca się trzykrotnie wzdłuż hali. Dłu-



Elektryczna jednostka trójwaggonowa typu 3B+4B

Burzliwy rozwój kolejnictwa spowodował, że mały warsztat z biegiem lat rozrósł się do rozmiarów ogromnej fabryki „Linke — Hofmann — Werke”.

Dawna jednak historia nie ma właściwie żadnego związku z teraźniejszością, liczoną od roku 1945. Gdy latem tego roku polscy robotnicy i inżynierowie mogli objąć w posiadanie rozmiarowany wreszcie teren „Pafawagu”, nie było tu niemal nic poza zwalami gruzu — „pamiątkami” przebiegającej tu niedawno linii frontu. Gruzu i złomu żelaznego wywieziono z terenu zniszczonej w 1/3 fabryki ponad dwa i pół tysiąca wagonów. W listopadzie 1945 r., w ślad za wagonami gruzu, wyjechał z „Pafawagu” pierwszy wyprodukowany tu po wojnie wagon towarowy — weglarka. Z końcem stycznia 1946 opuszczał bramę już setny tego rodzaju wagon.

* * *

Właściwie nie mógłbym powiedzieć, że zwiedziłem „Pafawag”. Pilotowany przez inżyniera Strzelbickiego — kierownika działu produkcji, który pracuje tu już 12 lat, obejrzałem tylko niewielką część fabryki.

Zacząć wypadło, jak zwykle w takich razach, od rzeczy najmniej skomplikowanych, zatem od W7 — wytwórni wagonów towarowych. Widzę już grymas na twarzy czytelnika: przecież to nieciekawie... Też tak właśnie na początku myślałem.

Olbrzymia hala ma ponad 2 hektary powierzchni. Niemal nie zauważone mieszczą

gi rząd obrabiarek pod jedną ze ścian przygotowuje metalowe elementy podwozia. Z przeciwnej strony hali buduje się podłogi, ściany i dachy. Wszystkie te części ruchliwymi dźwigami dostarczane są na odpowiednie miejsce „taśmy”.

Taśma zaś polyskuje setkami miniaturowych błyskawic z aparatów spawaczy. Gdyby nie te błyski i trzaski, można by pomyśleć, że zestawianie razem wszystkich części wagonu odbywa się

z pomocą składaniem pudełek, o tyle budowa wagonu osobowego przypomina już raczej budowę statku w stoczni. Na unieruchomionym podwoziu montuje się kadłub kołosa o długości 26 metrów (Jugosławia życzyła sobie wagonów dłuższych o 3 metry od „normalnych”, polskich).

Co miesiąc odjeżdża do Jugosławii 8 gotowych wagonów. Jeden z montowanych w hali podlega właśnie ostatniemu zabiegom kosmetycznym, czym różni się od typowych wnętrz, chcąc stwierdzić, czy różni się od typowych wagonów, kursujących na liniach PKP. Więc niższe i wygodniejsze ławki, miękkie w obu klasach, kryte sukmem w klasie pierwszej i plastykiem — w drugiej, dodatko-

bez wielkiego wysiłku. Tak sprawnie to właśnie przebiega.

Tę sprawność osiągnęto latami doświadczeń, wysiłkiem ludzi ze wszystkich stanowisk pracy. W czasach największej prosperity „Linke — Hofmann — Werke” nie potrafiły wyprodukować więcej niż 400 wagonów towarowych miesięcznie. „Pafawag” już w roku 1948 robił ich w ciągu miesiąca dwa razy tyle. Przed wojną wszystkie polskie fabryki osiągały maksymalną miesięczną produkcję 288 wagonów towarowych.

Rocznie „Pafawag” zużywa na swoje potrzeby drewno z około 50 kilometrów kwadratowych lasu. Trwają prace nad oszczędzeniem tego surowca. M. in. opracowano prototyp wagonu towarowego z dachem i drzwiami z masy plastycznej.

wo środku opuszczone podpórki dla rąk. Więc oświetlenie jarzeniowe w ładnej obudowie. Jak mnie informują, także klimatyzacja, a obok ogrzewania parowego, również elektryczne. Kiedy dołączymy się takich wagonów w kraju? Tęgo w „Pafawagu” nie wiedzą, wagonów osobowych dla kraju tu się już od kilku lat nie produkuje.

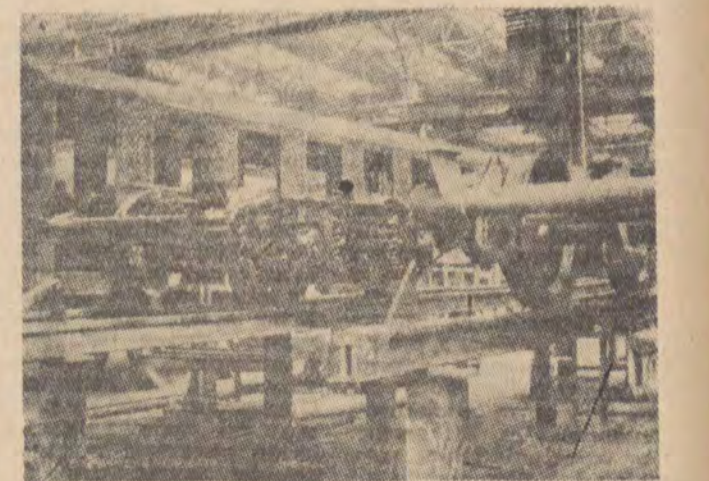
Dobrze w każdym razie wiedzieć, że posiadamy już projekty i rozwiązania konstrukcyjne lepszych i wygodniejszych wagonów, że produkujemy je na dość dużą skalę. W oparciu o doświadczenia „Pafawagu” łatwiej będzie opanować produkcję innym fabrykom, pracującym dla potrzeb krajowych.

Wszystko, o czym dotąd była mowa, nie stanowi jednak jeszcze o prawdziwym „obliczu” wrocławskiego kołosa. Oblizę to zaczęło się kształtować właściwie dopiero w latach pięćdziesiątych, więc znacznie później niż przyjęto nazwę „Państwowa Fabryka Wagonów”. We wrześniu roku 1953 opuścił fabrykę pierwszy elektywóz.

W tym czasie podjęto również produkcję tzw. „trójczłonów”. Początkowo oba te rodzaje „pojazdów” zaopatrywane były w aparaty elektryczne przez firmy angielskie. Nic dziwnego, na tym polu nie mieliśmy przecież żadnych doświadczeń. Zelektryfikowany podmiejski węzeł warszawski obsługiwało przed wojną kilkadziesiąt importowanych trójczłonów zaś do przeciągnięcia przez Warszawę pociągów dalekobieżnych służyło 10 elektywózów, również kupionych za granicą.

W hali, do której teraz przechodzimy trwa jednocześnie budowa kilku elektywózów. Są to tzw. „3E”, oparte na licencji radzieckiej z 1957 roku, kilkakrotnie już jednak modernizowanej na miejscu. Wszystkie części o-czywiście produkuje się w kraju.

Każdy z tych olbrzymów, blisko 20-metrowej długości wymaga 17 i pół tysiąca godzin pracy, podczas gdy wagon towarowy pochłania poniżej 200 godzin, czyli prawie stokrotnie mniej. Wys-



Potok montażowy podwozi wagonów osobowych

ARTYSTA

obserwuje,
wybiera,
domyśla się

(okończenie ze str. 1)

str. 6 **odpowiedź**

fesjonalnie czynnym kształtowaniem naszego życia: praktyków społecznych i polityków. Żadnych bowiem problemów, nawet naukowych, nawet czysto teoretycznych, nie rozwiązuje się na papierze lecz w konkretnych warunkach, w doświadczeniu, w praktyce życia — na papierze problemy się tylko stawia czyli społecznie uswiadamia. I to jest ta pomoc, którą literatura świadczy praktyce życia społecznego. I do tego jedynie sprawdza się istotna, jakże doniosła i roważna w praktycznych konsekwencjach, rola pisarza. Jeśli wychodzi poza te role, przestaje być pisarzem, a staje się praktykiem czyli działaczem. Owszem tzw. „produkcyjności” u nas „rozwiązywały pro-

blemy”, ale z jakim oplakalnym skutkiem i dla sztuki i dla tych problemów!

Antoni Czechow w liście do A. S. Suworina z dnia 27 X 1888 pisał: „W rozmowach z pisanym bractwem zawsze upierałem się przy tym, że nie jest rzeczą artysty rozstrzygać wąskie i specjalne problemy. Od specjalnych problemów istnieją u nas specjalści: ich rzeczą rozstrzygać o społeczności, o losach kapitału, o szkodliwości pijaństwa, o butach, o kobiecych dolegliwościach... Że kiedy pisarz bierze się do tego, czego nie rozumie... Artysta obserwuje, wybiera, domyśla się, komponuje — już same te czynności zakładają z góry istnienie problemu — jeśli od początku

nie zadał sobie jakiegoś pytania, to nie ma się czego domyślać i nie ma czego wybierać... Słusznie domaga się Pan od artysty sumiennego stosunku do swej pracy, ale mieszają Pan dwa pojęcia: rozwiązanie problemu i należyte postawienie problemu. Tylko to drugie obowiązuje artystę („Tolko wtoroje obiazatelnio dla chudoznika”). W „Annie Kareninie” i w „Onieginie” nie jest rozwiązany ani jeden problem, ale te dzieła w pełni nas zadowalają tylko dlatego, że wszystkie problemy postawione są w nich właściwie. Pisarz obowiązuje jest tylko postawić problem rozwiązują go czytelnicy, każdy za swój sposób...”

Sądzę, że te wypowiedzi wielkiego realisty rosyjskiego z końca ubiegłego wieku nie straciły dzisiaj nic ze swej słuszności. Warto czytać jego mądre listy. Mówią one wiele nie tylko o tajemnicach kunsztu pisarskiego, ale i o zadaniach pisarza i jego obowiązkach wobec społeczeństwa. Pierwszym z tych obowiązków jest traktowanie serio swojej sztuki jako narzędzia najbardziej praktycznego kontaktu ze społeczeństwem; ten kontakt polega na wzajemnym wpływie: pisarza na społeczeństwo i społeczeństwa na pisarza. Z dialektycznego splotu tych wzajemnych wpływów rodzi się istota artysty: prawda. Pisze Czechow: „Szczególne piękno sztuki

(zwłaszcza sztuki pisarskiej) polega na tym, że nie można w niej kłamać... Można kłamać w miłości, w polityce, w medycynie, można oszukać ludzi i samego Pana Boga — bo i takie wypadki bywały — ale w sztuce oszukać nie można”.

Oto na czym polega praktyczne znaczenie literatury pięknej: na mówieniu prawdy i tylko prawdy, na ograniczonej niejako niedość do kłamstwa — kiedy pisarz zaczyna kłamać, przestaje być artystą. Prawda nie wyłącza jednak błędu, chociaż błąd świadczy tylko o niedość doświadczenia artysty. Ale o tym w następnym artykule.

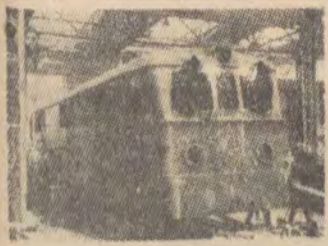
MARIAN PIECHAŁ

tarczy takie porównanie, by zrozumieć, jaki to skomplikowany mechanizm. Wnętrze, poza dwoma ciasnymi kabinami sterowniczymi, zajmują w całości urządzenia elektryczne, które ważą ponad 50 ton. Tu prąd elektryczny o napięciu 3 tysiące volt przetwarza się w energię napędową dla 12 kół lokomotywy.

„3E” to z kolei trzeci typ elektrowozu wytwarzany w „Pafawagu”. Obecnie trwają przygotowania do podjęcia produkcji jeszcze doskonalszego typu, noszącego już nazwę „E4”, który będzie oparty na licencji angielskiej. Inżynierowie z fabryki wyjeżdżają do Anglii, by opanować tajniki produkcji, w biurach konstrukcyjnych powstaje dokumentacja.

Modernizacji ulegnie wkrótce również tradycyjny trójczłon. Zostanie przystosowany do ruchu dalekobieżnego i niskich peronów, będzie też wyposażony wyłącznie w miękkie fotele.

Poznaliśmy więc na koniec „prawdziwe oblicze” Pafawa-



Prace przy elektrowozie

gu, jedynego w kraju producenta taboru dla trakcji elektrycznej, z której my, Łódzianie, coraz szerzej korzystamy. Wypada jeszcze dodać, że jeśli w roku 1957 tabor elektryczny stanowił ledwie 4% produkcji fabryki, to w roku 1965 stanowić będzie przeszło połowę, bo 51 procent.

Tak oto w skrócie można przedstawić rezultaty „wędrowki” po najciekawszych oddziałach „Pafawagu”. Zdając sobie sprawę, że czytelnikowi łódzkiemu, obeznanemu najczęściej z przemysłem lekkim, trudno zrozumieć, czym jest skomplikowany organizm takiej potęgi przemysłu ciężkiego, jak „Pafawag”, gdzie wykonuje się „wszystko”, poczynając od prostych odlewów żeliwnych, kończąc na montażu aparatury sterowniczej elektrowozów. Dlatego też poświęcalem uwagę najczęściej tylko

Do roku 1965 będziemy mieli w Polsce 2.200 km zelektryfikowanych linii kolejowych. Potrzeba w związku z tym dalszych 220 elektrowozów. „Pafawag” pokryje całe zapotrzebowanie. Wyprodukuje się tu m. in. także 35 tysięcy wagonów towarowych. Część z nich pójdzie na eksport, większość jednak zasili PKP, które w tym czasie domagają się dalszych 40 tysięcy wagonów towarowych.

gotowym już efektem wysiłku tysięcy robotników i techników olbrzymiej fabryki.

Na zakończenie jeszcze jedno znamienne porównanie — wartość produkcji „Pafawagu” wynosi półtora miliarda złotych rocznie. Taką samą wartość osiąga mniej więcej produkcja wszystkich łódzkich zakładów przemysłu metalowego i budowy maszyn, których jest w mieście około 100.

Kiedy kończyłem lekturę, z dworca Łódź-Fabryczna odjeżdża prawdopodobnie w drogę jeden z elektrowozów „Pafawagu”, ciągnący za sobą sznur wagonów.

ANDRZEJ BORKOWSKI

Wszystkie zdjęcia publikujemy za wydawnictwem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich „Trzy sylaby” Z. Tempickiego. Z tej książki za czerpnęto także szereg danych cyfrowych.

W najbliższych tygodniach ukaze się nakładem Wydawnictwa MON powieść Władysława Rymkiewicza o Łodzi. Wymujemy z niej kilka fragmentów.

Za wydłużoną, srebrzystą smugą z latarki weszli do hallu. — To mieszkanie ma jakiś swoisty, przyjemny zapach, prawda? Zapach owoców i cygar — mówił wuj Roman. — Przypominają się dawne dobre czasy — westchnął. — Ach, żal wspominać! Minęło i nie wróci. Never more! To tutaj, prawda? — zostawił otwarte drzwi do łazienki. — Ile razy patrzalem na ten niedorzeczny i świadczący o braku elementarnego poczucia smaku wstydul — rozległ się w głębi otwartej ubikacji ironiczny, gromki i wyrazisty w tych kafelkowych ścianach głos wuja Romana — tyle razy myślałem o tym, co zdziałali twój dziadkowie, Hans i Otton! Myślałem o ich karierze, o ich drodze życiowej. Ich stosunek do ludzi, do tego kraju, był czysto komercyjny, a nawet jeszcze inaczej: komercyjno-konsumpcyjny. — Zadowolony z odnalezienia trafnej formuły, chichotał cicho:

Kōmerycjno - konsumpcyjny.

Prowadził wuja drogą, którą sam przebył przed godziną, z palarni do gabinetu z napisem Comptoir na matowej szybie w drzwiach. Smuga latarki liźnęła portret Hitlera. Wuj Roman syknął. — Powinieneś usunąć to świątństwo — mówił jak o łajnie. — I to jak najprędzej! Nie tylko ze względu na bolszewików i własne bezpieczeństwo, ale, przepraszam cie, to ohyda!

Szli w milczeniu przez duże, ciemne, ciche, nie ogrzane pokoje.

Dopiero w sypialni ojca, gdy srebrzysty krząkał światła padł na dużą fotografię gabinetową wysmukłej damy (o wygiętej linii sescyjnej lodygi, wazlutkiej w pasie, wygorsetowanej, w balowej sukni z pękłem sztucznych róż w zakończeniu krótkiego trenu rozłożonego dekoracyjnie na podłodze, damy o pięknym obnażonym biuście, labedziel szyi, w szerokim naszyjniku z kilku sznurów perel usztywniających szyję, pięknej o dużych marmarowych oczach i bujnej fryzurze w bukłach upiętych na skroniach w „nłoby”, na poduszeczkach z włosów, używanych jako podkładki), wuj Roman wykrzyknął: — Twoja mama! Zaneta!

Przybliżył twarz do fotografii i tonem znawcy mówił: — Kobieta — owad, cienka w pasie jak osa albo, jak powiadano, kobieta — kwiat, w sukni balowej w motywie tulipanu odwróconego do dołu, albo, jeśli wolisz, w kształcie dzwonu, w kolorze zwiedłego liścia, feuilletmorte. Piękna, nieprawdaż? Ta fotografia pochodzi z czasów, gdy Zaneta była jeszcze narzeczoną twego ojca.

Światelko latarki bateryjnej padło z kolei na oprawioną i oszkloną kartkę z albumu, wiszącą na ścianie i wuj Roman rozgadał się na dobre. — Otóż i nasi baronowie przemysłu! Proszę! Otto Gaertner, smolistobrewy, z wasami muszkietera, zawsze bardzo zadowolony z siebie. Chociaż Bogiem a prawdą nie miał powodu do zadowolenia; nie miał łatwego życia. Naturalnie się ciężko, zanim dochrabiał się małatką, a i potem życie nie płynęło mu po różach. Robotnicy dobierali się swemu przedsiębiorczemu i żyjącemu ich pracodawcy do skóry. Wpęczle, w 1905 r., przerwał linie telefoniczną w kanferze, wzięli pijawki na rece wnieśli na podwórze i już, już niewiele brakowało, żeby go przeżuli przez bramę na ulicę. (A hrama była wysoka, i życie twego dziadka, P-walcu, wisiało na włosku! W następnym razie nie obeszłoby się bez polarniana kości). Na szczęście dla Ottona

Gaertnera ktoś zwrócił uwagę tłumy na kąpiących się w stawie kozaków. Gdzież jest ten historyczny staw? Zimą ślizgałeś się na nim z chłopakami z famul. Nic nie widzę. Pewnie zasypany śniegiem. Naturalnie! — mówił wuj Roman z twarzą przy szybie. — stacjonujący na terenie fabrycznym Kozacy, zamiast czuwać nad majątkiem i bezpieczeństwem osoby dyrektora Gaertnera, zażywali kąpiele. Maj był gorący w 1905 r. Małe chłopaki zobaczyli kąpiących się Moskali i nuże ciskać w nich kamieniami. Kozunie zlekli się młodocianych rewolucjonistów i tak jak stali, zasnając tylko rękami przyrozdzenie „wzięli nogi za pas wzbudzając homeryczny śmiech wśród obserwujących ich robotników i odwracając uwagę tłumy od pijawki.

Fakt ten uratował Ottonowi Gaertnerowi życie. Ale nie na długo! Jakies fatum zawisło, widać, nad rodziną Gaertnerów, nad tym pałacem. We wrześniu 1905 roku trafiła jadącego powozem, a właściwie zwykłą bryką sas-

pachy, a potem na ręce i próbować przerzucić go przez bramę; do tego czasu jednak grywali z nim w bilard i wyliczali się skrupulatnie z przegranych (Otto Gaertner wypłacał się uczciwie gdy przegrał, ale też nie darował partnerowi — robotnikowi pół kopiejki, gdy był wygrany). Nie mogę pojąć — dziwił się wuj Roman — jak mógł Wilhelm, dla którego ojciec był wzorem i przykładem tolerancyjnego stosunku do ludzi, podpisać volksliste deklarując przynależność do fanatyków i ludobójców. Widocznie obłęd hitlerowski demoralizował uczciwych, lecz słabych ludzi. Ale nie mówmy o tym! Nie widzę tu fotografii twego dziadka stryjcznego Hansa! Sądząc z opowiadań twego ojca, Hans Gaertner był bardzo pobożny, chodził w każde święto ze śpiewnikiem do kościoła i nie żałował pieniędzy na cele filantropijne. Wyznawał zasadę: „nie jest zasługą, lecz obowiązkiem każdego pokolenia dzieło w dziedzictwie otrzymane nie tylko zachować, lecz rozwinąć i własnym wysiłkiem dorobek powiększyć dla do-

tyżyl ręce jak ksiądz do Dominus Vobiscum. — Czy nie w tym pokoju mieszkalem przed wojną? Czy to nie tutaj.

— Prawdopodobnie tutaj. — Został przemeblowany. Ocalała tylko amerykańska, na której sypiałem, gdy mi się nie chciało wracać na noc do siebie na Piotrkowską. Przepraszam cie, pozwól! — wuj Roman wziął latarkę z rąk siostrzeńca i puścił smugę światła jak strumień wody z gumowego węża na ściany...

— Portret Wilhelma... Portret twego ojca.

Srebrzyste kółko, nie większe od krążka hokejowego ślizgało się przez małą chwiłkę po olejnej powierzchni obrazu w pozłacanych ramach. Z czarnego tła wynurzało się wąskie, szczuple oblicze mężczyzny w binoklach o przyszytych po angielsku wąsach i lysiejącej czasce z pasami rzadkich, zaczesanych w poprzek głow blond włosów. — Typowy nowoczesny łodermensch! — patetycznie, z efektowną przesadą mówił wuj Roman. — Czym się odznaczał? Zimną obojętnością

bjąwszy urządowanie 28 c „ca, w dniu ogłoszenia stanu wojennego wydał surowe Objawienie, mocą którego, między innymi, bramy i furtki domów miały być dnoiem i nocą zamknięte, zaś stróż winien stać na posterunku przed bramą od zstężej do dzwiewiętej wieczorem. Łódź została zatrzęsnięta. Na balu wydanym na jego cześć w tym pałacu Shutleworth wyłożył wyfraczonym panom fabrykantom

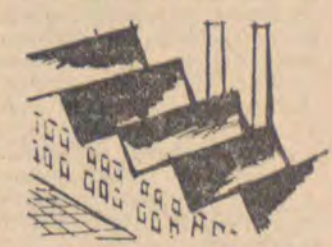


swoj pogląd na sytuację gospodarczą i polityczną. Przyczynę zaburzeń widział w przynajmniej skoncentrowaniu fabryk i nadmiernym skupieniu ludności robotniczej w jednym mieście. Gen... stwierdził, że około pięciuset zakładów przemysłowych i prawie sto tysięcy proletariatu to nie spotykany (nie tylko w Rosji, ale w ogóle na świecie) obraz masowego skupiska najbardziej zapalnego materiału, jakim jest żywioł robotniczy, głodny i podrażniony, na niewielkim obszarze. Był to, zdaniem generał-gubernatora, błąd wymagający niezwłocznej naprawy, a więc dekoncentracji, a może nawet zniszczenia wielu istniejących fabryk, zakazu budowy nowych i odrzucenia podań o uruchomienie tych przedsiębiorstw, które zostały zamknięte z powodu bankrutstwa, pożaru itp.

Przerażeni panowie we frach wysłuchali z martwym uśmiechem na ustach obłądnych wywodów generala. Drugą przyczyną rozruchów łódzkich było, zdaniem S. utlewortha, ni... nie zaburzeń w zarodku. „Nic tak szybko nie rośnie, jak nie owolenie i zła wola przy bezkarności, nie tak nie rozwija zła, jak słabość środków niszczenia go w zarodku. Ludzie skłonni są zarażać się samowolą”. Te filozoficzne wywody były — jak mówiono — wykniętem psychiki generalistycznej, której nigdy nie za wiele represji. „Rozprzeżenie doszło do tego — oburzał się carski wielkorządca — że Polacy w czasie nabożeństw w kościołach śpiewają pieśni rewolucyjne, czemu uda się zapobiec tylko groźbą surowych represji i masowych aresztowań”.

Przeciwko temu panowie fabrykanci nie protestowali nawet milcząc.

Durnie, blazny, osły dardanelskie! Przyjmowali w milczeniu reprimendy. Ach, zdradcy! — oburzał się wuj Roman. — Mieliby już za sobą piękne — z przekąsem wypowiedział to słowo — tradycje. Przecież to oni właśnie, trzynasto lat przed tym, w 1892 roku, w czasie buntu łódzkiego, wystali słynną depesze z Grand Hotelu do general-gubernatora Hurki w Warszawie, prosząc o pomoc wojskową przeciwko buntującym się robotnikom. Szelm! — wyjął paczkę niemieckich „Juno”, rozgniół ener-



gicznie papierosa w palcach, zapalił i rozsmuwając wonne obłoki dymu przeszedł się bocianim krokiem po pokoju. — Ależ tu są przecież rolety w oknach! — zakaszlał i rozluźnił taśmę przy futrynie. — Dlaczego siedzimy po ciemku?

Zaluzja opadła z hukiem. (D. c. n.)

Władysław Rymkiewicz



ką, Ottona Gaertnera w skroń zabłąkana kula rewolucjonisty czy soldata, tego już nigdy nie będziemy wiedzieli. Były to czasy niespokojne. Na dworcu Fabrycznym i na dworcu Kaliskim wyładowywały się rotacje dragonów i sotnie kozaków z Piotrkowa i z Kalisza. Na brukach i chodnikach dzwoniły kopyta wierzchowców patroli wojskowych, przed którymi przechodnie uciekali, kryjąc się po bramach.

— Tak, mój panie! — przemawiał wuj Roman do fotografii kołyszac się na piętach, z rękami założonymi za plecy. — Nie widzę powodu do samozadowolenia. Odwrócił się do Pawła. — Zastanawiałem się nieraz kim był, a raczej za kogo się uważał ten człowiek... Za Niemca? Polaka?... Ani za jednego, ani za drugiego. Zresztą w Łodzi nie łatwo było powiedzieć, kto Niemiec, kto Żyd, kto Francuz, kto Rosjanin, a kto Polak. Co do Ottona Gaertnera, to można by o nim powiedzieć po prostu, że był łodzianinem i łodermenschem.

Robotnicy traktowali go za pana brata, poklepywali go po ramieniu, dowcipkowali, i chociaż mówił Herr Gaertner (bez akcentu unizności, raczej — z poufalością), obchodzili się z nim, jak z jednym ze swych kolegów po fachu. Nie przeszkodziło im to w 1905 roku (gdy się przekonali i zrozumieli, że są przedmiotem wywyższenia) wziąć Herr Gaertnera pod

bra kraju”. I w imię tej szczytnej zasady żyłował swych pracowników. W stosunkach z robotnikami był twardy i bez litości. Bunt i rozruchy doprowadzały go do pasji. On, który chciałby trzymać swych robotników żelazną ręką, na widok rozpasanej anarchii, wysuwającej przez usta delegatów SD i PPS demagogiczne żądania, wpadał w furję i chorował z beznadziejną wściekłością. Kiedyś uniósł się tak, że jego najbliżsi sądzili, że uległ apopleksji. Ale ten pobożny tytan pracy i pasjonat miał kośćki zdrowie i przetrzymał własną furję. Zginął tragicznie, w dwa lata po śmierci brata, w 1907 roku, obłącony w fabryce i zamordowany przez robotników. Za ten akt samosądu general-gubernator wojenny Karznak wydał rozkaz rozstrzelania dwudziestu robotników. Syn Hansa, a twój stryj Michał, tak się przejął tym tragicznym wydarzeniem, że zgodził się na splate przez Wilhelma przypadającej mu połowy ołowiny, wlechał do Warszawy i założył tam sklen zabawek. On pierwszy z rodziny Gaertnerów, a następnie ty i twój kuzyn Jurek, my trzej uważacie się pod każdym względem za Polaków.

Tak, tylko nas jeszcze nie zawsze traktują jak Polaków — wtracił Paweł. — To przeklecie niemieckie nazwisko z jego obca pismo! To zabruło mi moja młodość. — Przepraszam cie, chwileczkę! — Wuj Roman roz-

wobec wszystkiego, co odnosiło się do ceny bawelny i wysokości kursów giełdowych, co nie miało związku z pieniędzmi, które wyciskał z fabryki, oraz jakąś obłądną namietnością (bo to chyba nie była miłość), którą płonął do twego matki.

— Kochał również mnie — Paweł wziął ojca w obrotnę.

— Wiem. Kazał wymościć jezdnię przed pałacem na przestrzeni dwustu metrów słomą, żeby turkot wozów nie mącił snu w czasie, gdy chorował na dyftert. Nie mówię, że był skapcem. Ale najważniejszy dla niego był credit i debet księgi głównej. Wszystko inne mało go obchodziło. To był łodermensch-kosmopolita z krwi i kości. Z równą obojętnością przyjmował u siebie w domu general-gubernatora tymczasowego Mikołaja Shutlewortha, jak podpisywał volksliste. Ja dorastałem z rządów tego carskiego wielkorządcy łódzkiego — wspominał wuj Roman. — Wprawdzie mieszkałem wtedy w Warszawie, ale objąło mi się o uszy jego nazwisko, a i później słyszałem o nim z opowiadań Wilhelma i wyobrazałem go sobie, widząc go niemal w tym pałacu, jak nadymając się i puszczając głaz wypielegnowane bokobrody i kroczy po wyfroterowanych posadzkach, cały w sroczce i złocie, w szlache ze złotej plecionki, akselbantach i orderach, chruszcząc a sztywnym suknie generalistycznym munduru. O-

odpisy str. 7

ORX 1

nie
zrobił
kariery

(2)

Pierwsze poszły ubezpieczające patrole. W parę minut później ruszyli: Janiak, Plewa i Wartki. Droga była fatalna: deszcz zalewał oczy, nogi grzęzły w rozmokłej ziemi, chlupoczącej pod butami. Mimo to szybko i bez przeszkód dotarli w pobliże granicznych drutów.

Teraz nadchodził decydujący moment. Drżącymi rękami sięgnął Janiak do kieszeni kombinezonu po nożyce do cięcia drutu.

Byli już przy pierwszej linii zasieków. Janiak ukląkł a następnie położywszy się na wznak na błoście, wyciągnął nożyce...

— Durniu! Syknął nagle Plewa — Włóż rękawiczki gumowe! Druty mogą być pod prądem...

Janiak znieruchomiał na chwilę. O tym zapomniał zupełnie. Tracąc drogie sekundy szamotał się z grubymi rękawicami.

Plewa z głośnym chlupotem upadł tuż obok niego. Kilka szybkich mocnych ruchów jego rąk odzianych w rękawice i pierwsze zasieki były już „zalatwione”.

Przy drugiej linii poszło już dużo łatwiej. Leżeli teraz przy trzeciej, pracując w pocie czoła. Ciężki drut tuż nad samą ziemią. Wartki — czołgający się tyłem, za Janiakiem i Plewą — jak najstaranniej łączył po ich przejściu zasieki, szeptając przecięte kawałki kołczastego drutu. Pochłaniało to co prawda wiele czasu, ale równocześnie stanowiło podstawowy warunek ich dalszego bezpieczeństwa. Trzeba było jak najlepiej zamaskować ślady przejścia granicy.

Ostatni rząd drutów łączyli już razem. Było szybciej!... Minuty biegly nieubłagane naprzód, w każdej chwili mógł nadejść patrol straży granicznej!...

Nareszcie! Gotowe! Jeszcze raz Janiak rzucił okiem na rzędy drutów. Nawet z bliskiej odległości trudno było zauważyć jakąś zmianę w ich wyglądzie.

Przynaglany przez kolegów dołączył do nich i teraz wszyscy trzej ruszyli biegiem. Deszcz zalewał potokami wody ich ślady, całkowicie je nieomal zacierając.

Biegł wleżał przed siebie wyteżając ostatki sił. Ciężki sprzęt utrudniał niesłychanie ruchy, deszcz zalewał oczy, mimo szczelnych kombinezonów ściekał zimnymi strugami za kołnierze. Była naprzód! Była jak najdalej od granicy!...

Janiak biegł pierwszy. Ciężko, ze świstem oddychał i w atramentowych ciemnościach raczej instynktownie wyczuwał, niż dostrzegał, sylwetki kolegów. Trzymali się blisko siebie, pilnie uważając jeden na drugiego.

Po mniej więcej pół godzinie forsownego marszu zatrzymali się dla złapania tchu. Plewa wyciągnął z bocznej kieszeni kombinezonu busolę i osłaniając ją dłonią od deszczu sprawdzał kierunek. Strzałka wskazywała północ.

— Dobrze idziemy — powiedział przerywanym ze zmęczenia głosem.

Janiak kiwnął głową. Był zbyt wyczerpany, żeby wykrztusić choć słowo. Jeszcze kilka minut i powinien być las — myślał.

Ruszyli dalej — już nie biegiem, a szybkim marszowym krokiem, z trudem wyciągając nogi z błotnistej gruntu. Wkrótce dojrnęli do pierwszych drzew lasu. Tu zatrzymali się na chwilę, aby odpocząć.

Czuli się teraz znacznie lepiej, las dawał większe poczucie bezpieczeństwa. Wyszli głębiej i przysiedli na zwalonym drzewie. Wokół panował absolutny spokój.

— No, mieliśmy dużo szczęścia! — odezwał się półgłosem Wartki.

— A mieliśmy — potwierdził Janiak, zaciągając się mocno papierosem.

— Jak byłem w Rzymie, opowiadano mi, że jedna z grup, która szła przed nami, nadziała się paskudnie. Wleźli wprost na pograniczników. Wynikła strzelanina, musieli przyskać z powrotem.

— Tak. Mieliśmy szczęście!...

— Szczęście! — mrukał Plewa — ładne szczęście! Spać tu, w tym, cholernym, mokrym lesie. Wolałbym tak, jak tamci wskazując ruchem głowy w kierunku granicy. — Oni jeszcze dziś wyspią się wygodnie w Wiedniu.

— Nie narzekaj! — Janiak był wyraźnie zgorzsony zachowaniem kolegi — Bogu dzięki wynieśliśmy na razie cało głowy. A że ci trochę nakapie za kołnierze? Wielkie rzeczy!

Po krótkim odpoczynku ruszyli dalej. Teren był coraz cięższy, coraz bardziej górzyszy. Nogi ślizgały się po mokrym igliwiu, potykali się o wystające pniaki i korzenie drzew. Za wszelką cenę trzeba było odejść jak najdalej od granicy. Wprawdzie druty zostały zamaskowane, a deszcz na pewno zmył ślady, ale...

To właśnie „ale” kazalo im mimo zmęczenia przedzierać się przez gęstą drzew, iść coraz głębiej, w las, chociaż każdy krok wymagał ogromnego wysiłku.

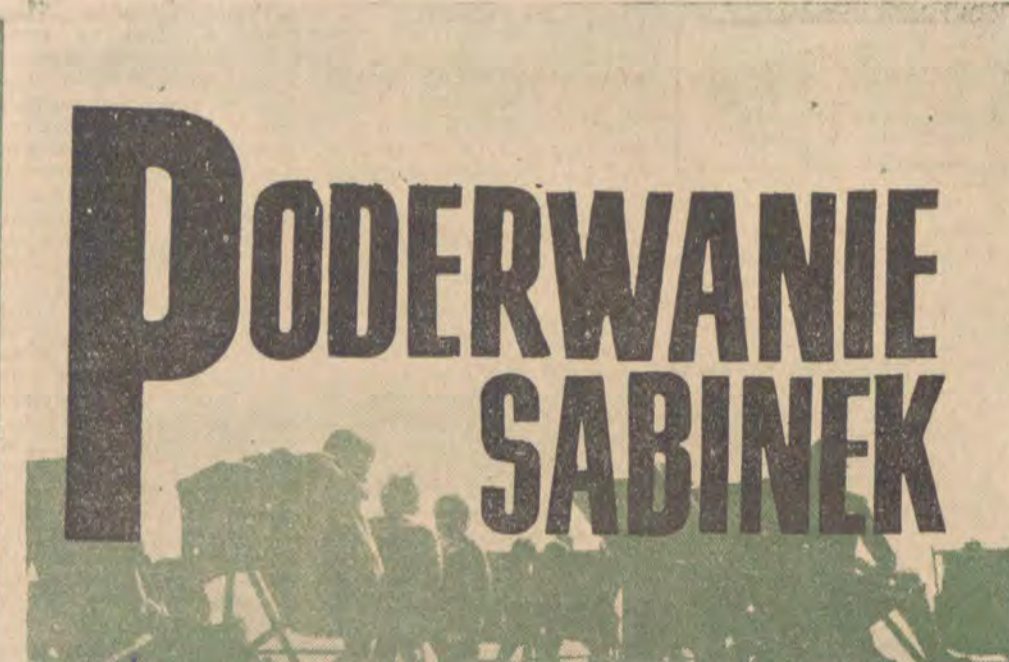
Dopiero o świcie po całonocnym marszu, zdecydowali się zatrzymać na dłuższy odpoczynek. Wyszukali odpowiednie miejsce i rozbili niewielkich rozmiarów namiot. Nacięli suchych gałęzi i wymościłi wnętrze. Ziemia była mocno rozmokła, ale impregnowana płachta rzucona na gałęzie zabezpieczała przed wilgocią.

Ustalili kolejność wart, po czym Janiak i Plewa wsunęli się do namiotu, a Wartki ze „Stenem” w rękach przysiadł pod obwisłymi gałęziami ogromnego świerku.

Rozwidniło się. Deszcz jednak padał bez przerwy. Dla całej trójki stało się jasne, że nie grozi im już oblawa ani pogoda. Z tym też uczuciem bezpieczeństwa Janiak i Plewa zasnęli.

W obozowisku, na tym samym miejscu przebywali jeszcze dwa dni. Przez ten czas wypogodziło się, słońce suszyło rozmokłą ziemię. Wyszuszyło także przemokłe ubrania i rzeczy biwakujących „turystów”.

Przez następne dwa dni Janiak, Plewa i Wartki, maszerując z zachowaniem największej ostrożności tylko



PODERWANIE SABINEK

(Dokończenie ze str. 1)

W góry, w góry miły bracie

Góra śmieci czeka na cię — napisał bezpośrednio po powrocie z Zakopanego.

Ani razu nie widziałem w czasie dwutygodniowego pobytu w Zakopanem, by ktoś sprzątał ulicę, względnie wysypywał je piaskiem w czasie gotolezdy.

Zapewniam, że nie wszystkie złamane nogi mogą się poszczycić tym, że ucierpiał w czasie zjazdu z Kasprowego.

No, ale mówmy o czymś przyjemniejszym. Trzeba przyznać, że istotne zmiany w Zakopanem zachodzą w dziedzinie budownictwa. Wprawdzie wiele nowych budynków nie „siedzi” w kraj obrazie” takie są pękate i nie udane, przypominają raczej fortece, niż stylowe domki zakopiańskie, ale lepsze to, niż stare rudery na Krupówkach. Myślę, że nowopowstające ze szkła i żelbetonu ośrodki sportowe dorówna wdziękiem linii i wygodą najładniejszym obiektom tego typu we Włoszech.

Na razie dużo rozkopanych ulic z powodu kanalizacji i światel jarzeniowych. W interpretacji mistrza Sztudyn-

gera polskie Davos wygląda obecnie tak:

W tym polskim Davosie, dziura na dziurze jak w nosie.

Kilka dni temu wyczytałem w miejscowej prasie zapewnienie, że w tym roku

jeszcze powstanie w Zakopanem kilka ważnych obiektów — dworzec autobusowy, hotele, restauracje itd. A więc są szanse na to, by ostatnią fraszka o polskim Davos stała się w niedługim czasie nieaktualna.



Fot. Z. Proszowski

lasami, zbliżyli się do punktu, w którym — według ustalonych jeszcze w Austrii planów — mieli po raz pierwszy skorzystać z pociągu. Była to czeskosłowacka miejscowość Kaplice. Stąd — już pociągami — mieli dojechać do Budziejowic. Kolejny etap stanowiła Praga, a potem czekał już marsz w kierunku polskiej granicy.

Szykując się do wejścia między ludzi, starannie spakowali w niewielkie skórzane walizki, które dotąd przytroczono były do pleców kombinezonów, „Steny”, duże pistolety i inne niepotrzebne chwilowo części ekwipunku. Oczyszczili dokładnie ubrania i buty, do kieszeni przelożyli czeskosłowackie pieniądze i stosunkowo niewielkie pistolety „siódemki”.

Krytycznie się nawzajem obejrżeli.

— No, możemy iść — zawyrokował Janiak. — Na staćci udajemy robotników jadących do pracy. Plewa, ty znasz dobre język, więc kupisz bilety i zorientujesz się w rozkładzie jazdy i przesiadkach. Unikajmy raczej rozmów. W pociągu trzeba udawać śpiących i jak najmniej gadać.

— Udawać robotników? — Plewa parsknął śmiechem. Z walizkami?...

Janiak wzruszył ramionami.

— A cóż to, robotnik nie może mieć walizki? Nie musimy się każdemu pchać w oczy z tymi piętami, ani lazić kupą we trzeci po peronie. No, idziemy!

Gdy weszli na stację, było tu jeszcze zupełnie pusto. Plewa przestudował spokojnie rozkład jazdy, po czym podszedł do kasy i kupił bilety.

Po upływie kilkunastu minut stacja zaczęła napierać się podróżnymi. Przeważali ludzie w roboczym ubraniu. Janiak spojrzął kon-

frontująco na siedzących po przeciwnej stronie poczekalni Plewę i Wartkiego. Obaj wyraźnie różnili się swym strojem i bagażem od otoczenia. Pociąg nie nadchodził dość długo. Obserwując pilnie poczekalnię, Janiak zauważył, iż stają się przedmiotem zainteresowania podróżnych. Coraz więcej ciekawych spojrzeń bieгло w stronę skórzanych waliz i ich właścicieli. Na domiar złego Wartki poczył się nerwowo krecić i niespokojnie rozglądać.

Minuty płynęły powoli, narzmiłał niepokojem i strachem. Pociągu wciąż nie było.

Raptem drzwi wejściowe otworzyły się z rozmachem i do poczekalni wszedł człowiek w granatowym mundurze milicjanta.

Janiak zdrtwił. Milicjant energicznym krokiem szedł w jego kierunku. Serce waliło Janiakowi jak młotem, całe ciało sparaliżowała obojętnością słabość. Przy mruzył oczy i skurczył się.

Milicjant był już blisko. Przeszedł jednak obok Janiaka i nie zwracając zupełnie uwagi na niecodziennego podróżnego znikł w drzwiach z napisem „zawiadawca stacji”. Po chwili wyszedł i przeszedłszy przez poczekalnię opuścił stację.

Dopiero wtedy Janiak ośmielił się podnieść wzrok i spojrzął na Plewę.

Z twarzy Plewy znikł wyraz napiętej czujności. Powoli wyciągnął z kieszeni prawa rękę. Napotkał wzrok Janiaka i uśmiechnął się. Nieznacznie uniół kciuk prawej dłoni charakterystycznym gestem...

Pociąg przyjechał z opóźnieniem. Podróżni z walizkami możliwie spokojnym, wolnym krokiem wyszli na peron. Manewrowali tak, aby niepostrzeżenie znaleźć się w jednym wagonie, w tym

samym przedziale. Wagon był zresztą dość luźny i udało im się to bez specjalnego trudu. Do Budziejowic dojechali bez przygód.

W oczekiwaniu na pociąg do Pragi ulokowali się na oddalonych od siebie o kilka metrów ławkach. Dworzec był tu znacznie większy, podróżnych bez porównania więcej i już również jak oni, z walizkami, torbami, bagażami. W pewnym momencie na peron weszła spora grupa ludzi z podróznymi torbami w rękach. Zachowywali się dość głośno, mówili po niemiecku. Na pewno turycy z NRD — pomyślał Janiak.

Przybyli, wymieniając między sobą głośne uwagi rozglądali się w poszukiwaniu wolnych ławek. Kilku z nich podeszło w stronę Plewy i Janiaka i zajęło miejsca obok.

Dwaj kompani błyskawicznie zlustrowali powierzchność swych sąsiadów. Nie różnili się od nich prawie zupełnie. Szczęście więc sprzyjało. Postanowili trzymać się wycieczki. W ten sposób byli na razie doskonale zabezpieczeni. Aby jeszcze bardziej upodobnić się do turystów, Plewa wstał i przeszedłszy peron kupił w dworcowym kiosku sporych rozmiarów torbę podrózną. Wielu z członków wycieczki miało identyczne torby.

Pociąg przyjechał zgodnie z rozkładem. Podróżni z zielonej granicy ruszyli w stronę wagonów, starając się dołączyć do grupy niemieckich turystów. Również i w wagonie Janiak z Plewą ulokowali się między nimi w jednym przedziale. Wartki pozostał w sąsiednim.

Blogie uczucie spokoju nie opuszczało ich przez całą drogę do Pragi. Nie zdołał go zmącić ani konduktor, który skrupulatnie sprawdzał bilety, ani jakiś inny mężczyzna

Nie wspominałem jeszcze nic o „Poraju”. To tak jak być w Rzymie — itd. A więc „Poraj” to mała restauracyjka na Krupówkach, do której wchodzi się po stromych schodach.

Pięć czy sześć stolików i mały bufet od rana do nocy oblega w myśl zasady forteca obleżona, forteca zdobyta, kilkudziesięciu ludzi. Na czym polega czar tej małej knajpki — trudno pojąć. Jedni twierdzą, że kelnerzy i bufetowe odpowiadają na pozdrowienia, inni — że są tu znakomite zakąski, a jeszcze inni — że niedrogi itd. Fakt jest faktem, że jeśli bardzo wam zależy, aby spotkać kogoś ze znajomych, a nie znajdziecie go na Gubałówce, ani w Piwnicy Orbisu, to z pewnością spotkacie się z nim w „Poraju” tylko dlatego, że odpowiadają tam na pozdrowienia, dają doskonale zakąski i nie dużo się placą.

Tak, tak, słynie z tego Zakopane,

Ze tu wszystko zakochane.

KAZIMIERZ ZYGMUND



OPOWIEŚĆ

(5)

von Hagen

Owych jezior w dolinie Anahuac było pięć; Chalco i Xochimilco miały wodę słodką, nadającą się doskonale do picia; Texcoco — z lekka słonawą; zaś leżące najbardziej na północ Zumfango i Xaltocan — zupełnie słoną. Na dobrą sprawę było to jedno duże jezioro o brzegach, których linia przypominała kształt jakiejś rozpełzłej protoplazmy; różnice w ruchu wody powodowały potoki spływające z ośnieżonych zboczy wulkanów. Między Xochimilco właśnie a Texcoco zbudowali później Aztekowie swój system grobli, bazę dla dalszego rozwoju miasta. W tych miejscach zresztą jeziora były dość płytkie, w przeciwieństwie do innych punktów o sporej głębokości, a z błotnistej wody wynurzały się dwie małe wyspki, skaliste i otoczone rosnącym wśród mułu sitowiem. Na pewno jednak nie rozmach urbanistycznej fantazji skłonił Tenochów — Azteków do zasiedlenia tych skal; jak pierwotni ojcowie i założyciele Wenecji myśleli przede wszystkim o bezpieczeństwie.

Północna wyspka nosiła nazwę — Tlatelolco. Zagarnęli ją wojownicy azteccy, przybyli tu z północnego brzegu od Atzacalco. Drugie miasto budowali ci, którzy wypłynęli na jezioro od zachodu do strony lasów Chalcultepec. Oba miasta wiązały ze sobą most a dzieliła... zalecia rywalizacja. Wreszcie w roku 1473 doszło do wojny między dwoma ośrodkami. Tlatelolco przegrała i odtąd stolice Tenochów stanowiło już tylko jedno — połączone — miasto, Wielkie Miasto — Tenochtitlan.

BA, SPRÓBUJMY TO USTALIĆ

Początkowo za domostwa służyły Tenochom lepianki z trzciny i gliny. Później przyszedł czas na budowle monumentalne. Data uroczystego otwarcia jednej z wielkich świątyni, została zapisana w kronikach i do dziś jest pierwszym sygnałem w istnieniu Tenochtitlanu. Było to w roku 1325...

Z czasem groble zaczęły rozszerzać tereny miasta, ogarniać coraz większe pola, mullistych poletok uprawnych, w końcu zaś Tenochtitlan przekształcił się w potężne skupisko ludzi, liczące... ba, spróbujmy to ustalić! Zdobywcy twierdzili, że na wyspach Tenochtitlanu wznosiło się od 70 do 100 tysięcy domów mieszkalnych, każdy z nich miał od czterech do dziesięciu mieszkańców. Licząc przeciętnie — sześciu, ludność Tenochtitlanu należałoby szacować na ponad pół miliona!

Weźmy jednak pod uwagę, że tysiącosobowa armia Korteza, nawet z indiańskimi posiłkami, nigdy nie mogłaby zająć miasta o takiej liczbie mieszkańców; pół miliona Tenochów pobilooby Hiszpanów samymi pantoflami... „Zamiast 80 tysięcy czytaj — 8 tysięcy domów” — powiedział Juan de Rivera, który, choć oszukiwał przy kartach, próbował okraść Korteza i w końcu — jako szuler i złodziej został zamaskowany, niemniej był bystrym obserwatorem. Profesor Wagner z Berkeley szacuje ludność Tenochtitlanu na 30 tysięcy, ale jeden z francuskich autorytetów opytuje na rzecz liczby przekraczającej pół miliona, a być może — bliższej nawet milionowi... Von Hagen konkluduje, że — przy braku ewidencji ruchu ludności w dawnych epokach — problemy populacji przypominają metafizykę finansów: wszystko zależy od tego, jak odczytuje się statystyki.

Sam Korteza musiał oczywiście wiedzieć, jak się sprawa przedstawiała. Był dowódcą, a tego rodzaju dane w kampanii wojennej są podstawą planów strategicznych. Rzecz jasna, jak każdy dowódca, pozwalał sobie w opisach na „niewielką przesadę”, po to by czytelnikowi z większą plastycznością uprzytomnić powagę sytuacji, w jakiej się znalazł i z jaką musiał sobie poradzić. Niezależnie jednak od informacji na temat Tenochtitlanu Korteza pisał o jednym z największych państw — miast, leżących na

lądzie stałym w dolinie Anahuac, o mieście Texcoco; wspominał, że — „musi liczyć sobie około 30 tysięcy mieszkańców”. Podwójmy te liczbę, albo i potrójmy nawet, a przekonamy się, że Tenochtitlan nie mógł mieć więcej niż 90 tysięcy ludzi, ale liczba ta, choćby i zredukowana nieco, i tak na ówczesne stosunki była ogromna; Londyn z początkiem szesnastego wieku nie przekraczał liczby 40 tysięcy mieszkańców, a

Wielkie miasto TENOCHTITLAN

Paryż — 65 tysięcy. Tenochtitlan mógł więc z powodzeniem szokować swym ogromem.

TWÓRCY „PLYWAJĄCYCH OGRÓDÓW”

Miasto dzieliło się na 20 sekcji, Hiszpanie zwali je barrios — obwodami, ale w rzeczywistości struktura ich odpowiadała nazwie „klanu” i tak należy określać owe azteckie „Calpulli”. Początkowo — wedle ich własnych zapisów — plemię Tenochów liczyło sobie 7 klanów. Obejmowały one domostwa należące do jednego rodu; władę wspólnie posiadała ziemia, dzieląc ją między członków klanu, z tym, że jeśli który z nich zmarł bezpotomnie, zaniedbał swą działkę albo też został „wyświecony” z klanu, działka przechodziła do dyspozycji ogółu.

Pierwotnie zasięg upraw azteckich był ograniczony te-

rytorialnie; ale potrzeby życiowe zrodziły interesujący wynalazek gospodarzy „chinampas”, „pływające ogrody”, które zresztą pod tą nazwą przeszły do legendy. Otóż mieszkańcy Tenochtitlanu wypłatali trzcinowe kosze o średnicy około 2,5 metra i wypełnione ziemią spuszczały na płytką wodę; korzenie upraw przenikały przez warstwę plecionki i osiagnawszy dno, zakotwaczały takie mikropólko na stałe. W ten sposób poszczególnie klany rozszerzały swój stan posiadania. Oczywiście z czasem, gdy podboje azteckie rozpostarły panowanie Tenochów na pola uprawne stałego łądu, zdobyte dzielono proporcjonalnie między klany i chinampas straciły swoje pier-

„ZWYKŁY INDIANIN”

Podstawą bytu azteckiego państwa był „zwykły Indianin”, przeciętny obywatel — macehualli. Macehualli to znaczy „ten, który cierpi” ale także „ten, który zdobywa zasługi...”. Macehualli spełniał i te i te funkcje. Bo macehualli uprawiał ziemię i walczył. Był jednocześnie chłopem i wojownikiem. Tak jak przeciętny Rzymianin w początkach dziejów Włocznego Miasta. Macehualli płacił także podatki.

Zadna z cywilizacji amerykańskich nie znała pieniądza w tej formie, w jakiej wynaleźli system monetarny babilończycy, funkcje pieniądza pełniły tutaj ziarna kakao. Jose de Acosta opowiada, że kakao było tu czymś rzad-

szym niż migdały; stąd plynęła też jego wartość wymienna, zwłaszcza, że z ziaren kakao Aztekowie i ich pobratymcy wyrabiali znakomite napoje zwane „czekoladą”. Choć jednak Aztekowie nie znali monet, nie mieli pieniądza, podatki były dla nich równie naturalnym zjawiskiem, co śmierć; śmierć i podatki w jednakim stopniu wiązały się z ich życiem, a śmierć z powodzeniem mogłaby uchodzić — w związku z charakterem azteckiej religii — za jedną z wyższych form podatku...

Macehualli płacił podatki w ziarnach kakao, w płodach rolnych, płacił także bezpośrednio — wysiłkiem własnych mięśni. Ktoś musiał pokrywać koszty liturgii, wojen, przepychu dworu „monarchy” z całą jego wolną od podatków świtą — kapłanami, zawodowym rycerstwem, rzemieślnikami, konkubinami i posługaczami ptaszarni królewskiej. Księgi podatkowe prowadzone na szczeblu centralnym z grubo większą troskliwością niż nawet zapisy historyczne, a przecież nie koniec na tym: jeśli jeńców posyłano masowo na tamten świat, bo wymagał tego dobry ojciec azteckiego ludu, „Cudowny Koliber”, to przecież ktoś inny musiał budować pod kierunkiem inżynierów owe wspaniałe groble, akwedukty i budynki publiczne. Kto? Oczywiście „zwykły Indianin”, macehualli. Klan po klanie, na zmianę, uprawiał ziemię należącą do „króla”, nie dostając ani uncji z przychodów, które przysparzał.

CI, KTÓRYCH GŁOS SIĘ LICZY

W teorii państwo azteckie było państwem demokratycznym. Każdy klan posiadał własną radę i wybierał swego przywódcę. Spośród rady przywódców klanowych (teuchtl) najstarsi, względnie najstarsi czy najbardziej doświadczeni tworzyli radę plemienia. Taka czteroosobowa rada zajmowała kluczową pozycję w azteckim systemie rządzenia: Ci „tlatoni” (od tlatoa — mówić), czyli „ci, którzy mówią”, a praktycznie — „ci, których głos się liczy” — byli doradcami głowy państwa i jej wyborcami, coś jak elektorzy Świętego Rzymskiego Cesarstwa Narodu Niemieckiego. Bo państwo azteckie stanowiło rodzaj monarchii elekcyjnej — tlatoni

przy wyborze nowego władcy brali pod uwagę walory osobiste kandydata, wiedzę i sprawność wojenną. Jeśli poprzednik nie pozostawił następcy, wybierali kogoś spośród rodzeństwa zmarłego, ewentualnie — bratanek, ale nigdy nie działali się to automatycznie — tlatoni mieli głos decydujący.

A „król” nazywał się „Uei Tlatoni” — „Pierwszy spośród tych, których głos się liczy”. I choć żył wśród zwykłego ludu, nie posiadał tej mocy, jaką obdarzał swego monarchę teokratyzmu peruwiańskich Inków. Uei Tlatoni nie mógł na przykład decydować o własności ziemi czy ludzi, tak jak mógł to robić Inka. Ale Uei Tlatoni był półbogiem, najwyższym kapłanem, wodzem i ostatnią instancją przy wszystkich apelacjach...

CZARNO UBRANI

Uei Tlatoni piastował najwyższą godność w życiu państwowym, ale — jeśli aztecki system władzy oceniać współczesnymi kryteriami — okazało się, iż „król” dysponował siłą wielokrotnie potężniejszą — kościołem. Kościołem, którego organizacyjny rozwój mógłby rzeczywiście sugerować oparcie się o wzory Watykanu, którego zakres wpływów był również wielki. „Bogowie rządzą krajem Tenochów” — pisał dr Bailliant — „kapłani reprezentowali wolę bogów, a lud był im posłuszny”. Dwaj najwzrostli, quequetzalca, rezydowali w Tenochtitlanie, Podlegał im inny, który zawiadywał interesami azteckiego kościoła, sprawami szkolenia nowych kadr i szerzenia wiary w świeżo podbitych prowincjach. W samym Tenochtitlanie było 5000 czarno ubranych kapłanów, oni też sprawowali w kraju rząd dusz. Jak widać demokratyzm państwa Tenochów mocno wątpliwy był mark; równość wszystkich członków szczerze dawno pozstała w zapomnienie, a stara klanowa organizacja przetrwała jedynie jako sprawny system administracyjny-porządkowy, ułatwiający zarówno prowadzenie wojen jak ściąganie podatków... (d. c. n.)

TADEUSZ PAPIER

TELEFON więcej NIE ZADZWONI?

W nowej powieści Huszczy intryga jest dość typowa: chora żona, mąż alkoholik i ta trzecia, dzięki której zawija się cała historia. Czy można wobec tego wyrokować o niebezpieczeństwach wynikających z pewnej standardyzacji postaci i „matu? Maż, główny bohater (dziennikarz), leczy się w zakładzie, czy zwycięży nalog, czy pokona miłość do aktorki Kamy, czy wróci do żony, na te pytania czytelnik oczekuje odpowiedzi.

Autor mógł rozmaicie rozwinąć akcję, czytelnik ma prawo się zapytać, czy powieść ma być satyrą na środowisko artystyczne (dziennikarz i aktorka), czy jest dramatem przezwalkoholowy, czy opowiada o tym, jak dwoje ludzi, którzy się od siebie odsunęli, znów się zbliżają. Wydaje mi się, że Huszcza nie chciał odpowiedzieć na żadne z tych pytań, mógłby odpowiedzieć, ale nie zechciał, nie leżało to — wolno sądzić — w jego intencjach.

Przynajmniej w całości na to analiza powieści. Huszcza postawił swojego bohatera w sytuacji trudnej. Trudnej nie że

względem na losowe powikłania bohatera, który znajduje się w zakładzie leczniczym — jak zdrowie wśród ludzi o twarzach wyjąłowych z wyrazu, jemiół żyjących z zarobków swoich żon, ludzi szukających najmniej wybrednych okazji do śmiechu, psychopatów, obojętnych i żyjących własną mitologią, nie konfrontowaną prawie z rzeczywistością, Huszcza utrudnia swojemu bohaterowi spowiedź, chodzi mu o coś ważniejszego, o prawdę artystyczną, że bohater, niewolnik nalogu, nie może czy też nie potrafi osądzić świata, w którym sam przeżywa. Wprawdzie bohater spowiada się po wszystkim, już po wyjściu z zakładu, telefon więcej nie zadzwoni, nie przekaże niskiego i ciepłego, upragnionego głosu, ale... proces uzdrowienia jeszcze się nie zakończył. Czuwać, czuwać — upomina się bohater — żeby już nigdy nie z tego świata nie uronić! I żeby nie było w tym świecie miejsca dla Kamy...

Z takiego ustawienia bohatera wynikają dla autora przynajmniej dwie konsekwencje. Oczywiście, Huszcza

mogłby uczynić swojego bohatera również dobrze geniuszem, ale tak nie zrobił, stworzył człowieka bardzo przeciętnego. I tam, gdzie autor może pomóc swojemu bohaterowi w oglądaniu świata, tam świat ten jest żywy i interesujący, warstwa szpitalna na przykład. Ale poza tym zewnętrznym światem, zewnętrznymi realiami, które się ogląda, a nie przeżywa, jest i sam bohater z niesprecyzowaną bliżej pracą redakcyjną, „pisywaniem” reportaży, samo hasło niczego jeszcze nie mówi, nie mówi też nie o bohaterze w gruncie rzeczy bezbarwna wycieczka do Paryża, z miłością — czy inną odmianą nalogu — do Kamy, z tokiem myślenia, który jest bardzo konwencjonalny, ogólnikami, które znajdują się w obiegu jak monety. Cóż to znaczy owo „rozsmakowanie się w życiu”, jak je rozumie bohater? Życie według niego, prawdziwe, to zakupy, rogaliki, masło, twaróg na końcu noża. Czy do tego sprawa się „prawidłowa i regularna monotonia dni powszednich”, czy tylko do tego?

Oczywiście bohater mówi: książki, a my dopowiadamy życie wewnętrzne lecz jakże? „Trzeba poczekać”, — powiada nam pani doktor, i znowu konwencjonalna barwa.

A więc: ciekawe obserwacje, ciekawe realia (szpital) i bardzo nieciekawo bohater? Otóż tak, i tak być powinno — w ramach, które zakreśla autor — nie może być inaczej. Autor demaskuje bohatera, autor ironizuje. Powieść Huszczy zaliczyłbym do tej kategorii, którą nazywa się „śmiechem sztydereczym”, autor zestawia bohatera ze światem, którebarwa ten — na razie — nie w pełni widzi, to zestawienie jest wiele mówiące, tu jest ironia, autor nie odkrywa źródeł unadku bohatera, ale rysując jego portret, określałac jego nieciekawe horyzonty myślowe, demaskuje go — czy po to, żeby potępić go czytelnik?

Jan Huszcza „Telefon więcej nie zadzwoni”, Wydawnictwo Łódzkie, str. 132, cena zł 14.

Województwo najbliższe



ŁOWICZ Fot. J. Kotecki

Ta elegancka budowla o nowoczesnych liniach to Łowicki Dom Nauczyciela. Dom jest śliczny nie tylko na zewnątrz, wewnątrz bowiem jest bajecznie kolorowe, a przy tym — co nie zjarza się znowu tak często — zaprojektowane z ogromnym smakiem i umiarem. Placówkę otworzono stosunkowo niedawno, niespełna 5 miesięcy temu. Zieździł tu dziennikarce z Warszawy, Warszawska Telewizja pokazywała stał reportaż... Łódzka prasa natomiast składowa powstała Domu jedyną niewielką notatką.

A przecież o Łowickim Domu Nauczyciela można nieskończenie mówić: chór, kawiarnia, biblioteka pedagogiczna, zespół muzyczny, hotel. Tak jest! Kierownictwo wzięło pod uwagę fakt, że nieraz nauczyciel edzień z krańca powiatu nie może załatwić w powiatowych urzędach swoich spraw w ciągu jednego dnia. Wiele jest maleńki 7-lóżkowy hotelik dla nauczycieli z terenu. To miło, że ktoś o tym pomyślał.

Poza tym — działalność odcytowa. Pod pióro ciałnie się ste-

reotypowy zwrot „szeroka działalność”. Otóż nie, Łowiccy nauczyciele woleli organizować mniej odczytów, ale za to naszą wiska prelegentów (prof. Kuczyński, Strumph-Wojtkiewicz) mówią o jakości prelekcji.

No i na zakończenie ciekawostka. Czasopismo „Polska” zamieściło kiedyś informację o otwarciu Domu. Po pewnym czasie przyszedł do Łowicza list z Zasklebia Donieckiego od nauczycielki Polki. Zasklebia się ciekawa i z pewnością pozytywna dla obu stron korespondencja. Tak to łowicka planowita kulturalna obok innych „miejscowych” funkcji spełniała zaczęła rolę ambasadora polskiej kultury w niewielkiej osadzie Zasklebia Donieckiego.

odgłosu str. 9

W promieniach wiosennego słońca

Hanna Rek popularna piosenkarka radia i telewizji śpiewa ostatnio śliczną piosenkę Jerzego Abratowskiego „Gdy mi Ciebie zabraknie”.



Kwitujemy odbiór

„Ulica popołudniowa”

W ubiegłą środę pod tym właśnie tytułem nadala Łódź króciutki ale bardzo za to przyjemny koncert rozrywkowy w reżyserii Janusza Rzeszewskiego. Co się chwali w koncercie — za wyjątkiem Aliny Janowskiej — wzięli przede wszystkim udział wykonawcy łódzcy, prezentując się z jak najlepszej strony.

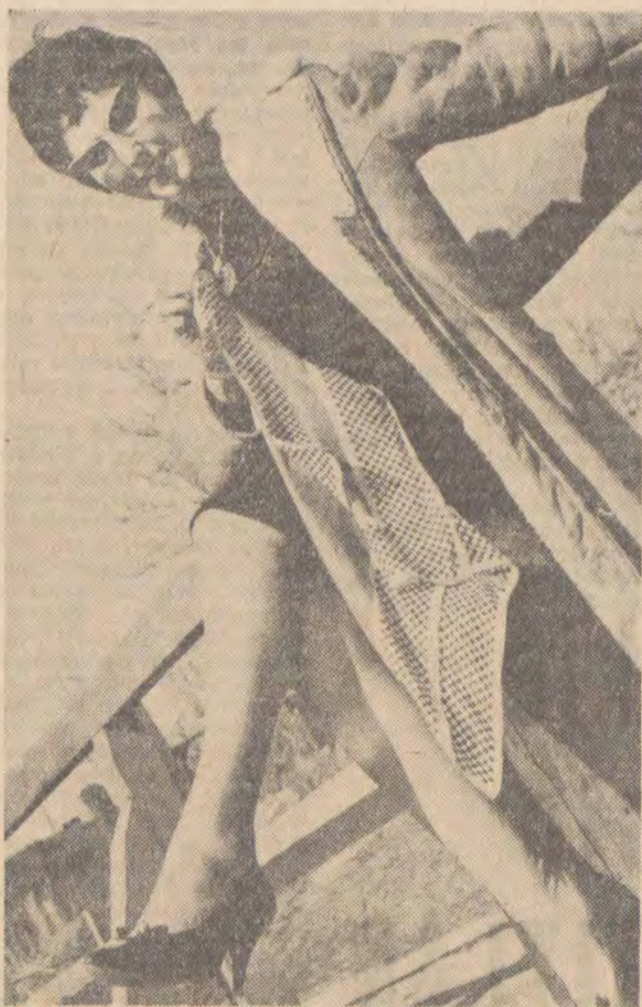
Oglądaliśmy Barbarę Rachwańską, Marię Wachowiak, Ludwika Benoit, Michała Szewczyka, wreszcie Andrzeja Jędrzejewskiego i do nikogo nie zgłaszamy większych zastrzeżeń. Słowem — dobre, prosimy o jeszcze.

„Wszystko zaczęło się w sobotę”

„Kobra” według scenariusza Zygmunta Zeydlera-Zborowskiego. Udana, trzymająca w napięciu, mimo wyraźnych luk w samym rozwiązaniu zagadki. Mocne aktorstwo, (między innymi oglądaliśmy Janinę Traczykówną, Stanisława Jasiukiewicza, Igora Smiałowskiego, Stanisława Gawlika) interesująca scenografia Edwarda Kougana.

Przede wszystkim jednak atrakcja „Kobry” — tygodniowej „Kobry” była reżyseria i interesująca praca kamer. To było coś, czuło się wyraźnie wyrafinowanie we wszystkich niemal ujęciach, wyrafinowanie bliższe prawdziwym tak zwanym „smaczkom”, ale utrafiłające w ducha sensacyjnego, bądź co bądź, widowiska. Bohater, osoba dla lajaca, raz za razem schodziła na drugi plan, ujmowana była bądź to przez rząd stojących na półcece szklanek, bądź przez otwarte a oszklone drzwi jakiegoś małego barku, przez strumień wody płynący z otwartego kranu i tak dalej i tak dalej. Wszystko to oczywiście znakomicie ułatwiało pracę aktorom — nie musieli oni demonstrować niedorzecznych min na temat „za chwilę coś się zdarzy”, bądź też tajemniczo skradają na pałac przez własne mieszkanie — sam rodzaj ujęć poparty muzyką wytwarzał już bowiem klimat napięcia, oczekiwania na ponure, jak to w „Kobrze” musi być, wydarzenia.

Można być lub nie być amatorem sensacyjnych widowisk, przyznać jednak wypada, że to ostatnie, przygotowane przez Michała Bogusławskiego, stanowiło pozycję świadomie zakomponowaną i wypracowaną do ostatniego szczegółu, co — niestety — nie za często zdarza się w telewizji.



TELE-RADIO PRZTYCZKI

Co to może znaczyć?

O koncercie rozrywkowym „Ulica popołudniowa” piszemy obok, tu jednak godzi się rozważyć pewien problem. Otóż w programie telewizyjnym przeczytaliśmy tegoż dnia, że o godzinie 21.00 Łódź nada „Inscenizację własną wg. Andrzeja Dolegowskiego”.

Po zakończeniu koncertu na planszy ukazało się: teksty i muzyka Andrzeja Dolegowskiego.

A więc pasjonująca zagadka co kryło się za pierwszym sformułowaniem „według Andrzeja Dolegowskiego”. Może autor popadł w konflikt z twórcami inscenizacji TV i nie chciał się do niej przyznać? A może w telewizji nie wiedzą co to znaczy „według Dolegowskiego”, „według Szekspira”. W każdym razie niepokoją widzów. Przynajmniej, zapowiedziami.

Reportaż z wielkiej wystawy

Tego samego dnia na zakończenie programu oglądaliśmy reportaż z wystawy 16-lecia Łodzi. Był to reportaż filmowy — rzecz można — eksperymentalny.

Mianowicie nie było ilustracji muzycznej, zaś spikerka czytała tekst z dużą swobodą. Na ekranie oglądamy np. budzik, a ona prawi nam, że to obrabliarka. Potem znów mówi o zaletach zegarka kiedy

na ekranie jak byk stoi odkurczacz. Wreszcie zmarmotowała spikerka-biedulka i gdy patrzyliśmy w niemym podziwieniu na sprzęt medyczny nie mówiła już nic. Czysta była absolutna.

Odnotowujemy, że był to jeszcze jeden ciekawy eksperyment zmuszający widzów do myślenia. A raczej do domyślania się.

Dziwne obyczaje

Wracamy jeszcze do świątecznego „Peryskopu”. W jego programie obok innych piosenek nadano jedną pt. „Kreda na płocie”.

Autorami tej piosenki są łódzianie P. Hertel i J. Słowikowski. Niestety na zakończenie poinformowano nas, że autorką tekstów prezentowanych piosenek była wyłącznie Agnieszka Osiecka z Warsza-

wy. Kompozytora „Kredy” też nie wymieniono.

Sprawa kwalifikuje się w zasadzie do sądu koleżeńskiegogo ZAIKS. My ze swej strony proponujemy telewizji by przed każdą wykonywaną w programie piosenką na moment ukazywała się (np. na przenikaniu) plansza z nazwiskiem autora tekstu i kompozytora. Tak będzie lepiej i na pewno ucieszy.



NA MARGINESIE ANKIETY „GŁOSU”

Od dłuższego już czasu łódzki „Głos Robotniczy” publikował głosy czytelników wypowiadających się na temat programu telewizyjnego — z początkiem miesiąca ankieta została zamknięta, a redakcja dokonała krótkiego podsumowania.

Biorąc pod uwagę liczbę przeszło 300 listów nadesłanych na adres redakcji i to listów częstokroć podpisanych zbiorowo, wyniki an-

kiety mają, jak się wydaje, swój ciężar gatunkowy, choć nie należy zapominać, że we wszystkich ankietach z natury rzeczy biorą udział jednostki aktywniejsze, bardziej wyrobione, co — rzecz jasna — nie pozwala utożsamiać ich rezultatów z jakąś „średnią przeciętną” gustów.

Co uderzyło autora podsumowania i jest chyba dla opinii widzów rzeczą bardzo istotną, to tendencja do utożsamiania TV z jakimś gigantycznym kombinatem rozrywkowym. Doświadczenia z odbiorem programu radiowego, który niemal z reguły poważniejszą pozycję na falach długich rekompensuje leższą na średnich i odwrotnie, co przy dobrych chęciach pozwala na „wymanewrowanie się” z wszelkiego rodzaju publicystyki i pozostanie przy miłej uchu muzyce — nie dają się zastosować przy telewizji, która — jak wiadomo — dysponuje i długo jeszcze będzie dysponować jednym tylko programem. Stąd narzekania — ktoś, kto chce cały wieczór spędzić przy włączonym telewizorze, jest skazany na publicystykę i na audycje popularno-oświatowe, nie może od nich uciec.

No tak, ale — i tu znów z autorem podsumowania jesteśmy zgodni — audycje publicystyczne w TV są nadal, w znacznej przynajmniej części, „dretwe”, oparte zbyt natrętnie na słowie mówionym a w towarzyszącym mu obrazie nie raz i nie dwa przegadane.

Zapewne — i tu wypada się uderzyć zarówno we własne, jak i w cudze piersi — obok widzów również i recenzenci telewizyjni nie nazbyt skwapliwie zabierają się do oceniania takich właśnie audycji, pozostawiając realizatorów swojemu losowi i nie towarzysząc im w nielatających doprawdy drogach. Tak więc jakaś część winy leży i po tej stronie telewizyjnego ekranu; może mała część, ale zawsze...

Długą, smutną zresztą, rewelacją ankiety, jest mnogość zarzutów pod adresem Teatru Telewizji (bliisko 50 proc. autorów listów uważa repertuar za zbyt trudny) i pod adresem „Kabaretu Starszych Panów”

uznanego nawiasem mówiąc przez wyjątkowo zgodny chór sprawozdawców telewizyjnych za bezsprzecznie ciekawszą i najambitniejszą audycję rozrywkową. Uczestnicy ankiety proponują — jak słyszymy — przesunięcie bardziej elitarnych audycji na godziny nocne. W 22-ej powiedzmy, wychodzi z założenia, że większość ludzi pracy chodzi już o porze spać.

Pomijając drobiazgi, chodzi tu raczej o pracodawców fizycznych, a nie wszystkich ludzi pracy, tego rodzaju fikcyjne zresztą „riery czasowe” nie wydają się być żadnym wyjściem z sytuacji. Szczególnie, że sama ocena wydaje się przesadna — to prawda, mieliśmy w telewizji pozycje artystycznie trudniejsze, mieliśmy również całą kurtuazję utworów Fredry, retransmisję z niezliczonych operet popularne audycje z cyklu „Co kto lubi” i tak dalej, tak dalej.

„Kamieniem obraży” jeżeli wolno zaryzykować niechym nie poparty domniemaniem — jest zdaje się fakt, że ile do teatru przychodzi widzów jako tako przytłoczony (recenzje i zapowiedzi prasowe, opinie znawców, do spektakli telewizyjnych zaskakuje go. Często sto nie wiadomo nawet, o co rzecz jest raczej „do śmiechu”, czy raczej „do płaczu” — zapytajcie zaś pierwszego lepszego organizatora teatralnej widowni, jak bardzo dba o to, aby przynajmniej owa podstawowa informacja dotarła do przyszłego odbiorcy.

I tu dopiero zaczyna się cały problem, którego telewizja zdaje się raczej nie dostrzegać czy niedoceniać, sądząc chociażby z oszczędności i niechętnego niemu udzielenia informacji programowych prasie. Gdy w gazecie ukazana się wzmianka o premierze, to TV zadowolona się przesłaniem tygodniowego programu z tytułem i autorem sztuki, nawet obsady i nazwiska reżysera. Gdy rzecz idzie z Łodzi, znana się oczywiście dowiedzieć czegoś więcej, ale gdy z Krakowa — senne marzenie.

O tym spróbuję zresztą szerzej napisać za tydzień. JERZY PANASEWICZ

Wciąż w poszukiwaniu łódzkiego folkloru

Pisaliśmy już o tym niejednokrotnie: o folklor łódzki, niechby — rzecz jasna — stylizowany, niepomniemię trudniej aniżeli o warszawski, czy — powiedzmy — krakowski. A jednak o programy czy nawet o poszczególne pozycje na tym folklorze oparte, powinniśmy się chyba mocno starać bo to rzecz wdzeczna, zawsze chętnie przyjmowana przez widzów, no i koniec końców jakoś reprezentująca nasze miasto.

Stąd słowa uznania dla tych autorów — niestety niezliczonych — którzy dbają o wprowadzenie do swojego repertuaru takich właśnie pozycji, którzy popularyzują je w łódzkim radio, telewizji i z estradowych desek.

Na zdjęciach jedni z nielicznych: Janina Jaroszyńska i Włodzimierz Skoczylas.



MĄDRY POLAK PO SZKODZIE

Występy Ymy Sumac zostały u nas przyjęte — cóż tu ukrywać — dość chłodno. Reakcje publiczności wypadły chyba pochwalnie, ludzie dali się co prawda nabrać (reklamą), ale szybko poznali się na rzeczy, obdarzyli pieśniarkę i jej męża naleźnymi, a więc zdawkowymi brawkami i, zawiedzeni, rozeszli się do domów. Być może, po raz drugi nabrać się nie dadzą. Mniej godna pochwały wydaje się postawa poniekąd recenzentów i sprawozdawców muzycznych. To oni Ymę Sumac uważają Polaków pole-

cali, to oni ją reklamowali, to oni pisali z zachwytem o tajemnicach gardła tajemniczej księżniczki tajemniczych Inków czy Mayów. Oni, którzy głos Ymy Sumac z nagła rozmaitych znali, a przynajmniej znać byli winni. Teraz — kiedy ów głos z estrady usłyszeli i p. Sumac na własne oczy zobaczyli — wpadli we wściekłość. I braki w wykształceniu tudzież kulturze muzycznej p. Sumac postanowili obnażyć. Dostało się wszystkim, którzy — zdaniem recenzentów — zawinił: i pieśniarce, i jej synowi, grającemu na bębenku, i jej małżonkowi, p. Vivanco, i „Pagartowi”, który rzecz całą zorganizował. Był to — po wiada szczególnie okrutny sprawozdawca „Życia Literackiego” — „bluff na cztery oktawy”, „za tańsze pieniądze i bez ścisłu możemy w Polsce słyszeć co najmniej pół tuzina rodzimych i lepszych głosów”.

ŚWIĘTA IZOLACJA „Tygodnik Powszechny”

rozpoczął druk „Rad dla dzieci” opracowanych na podstawie książki G. Co...

„Dziecko — czytamy w wych radach — jest dziś dziećmi niż dawniej obciążone przedwczesnym zetknięciem się z nienajpiękniejszą stroną rzeczywistości. Afisz, radio, kino, telewizja, słodkie reklamowe, jaskrawe plakaty kładą się w parkowach, ścigają się w zatrzymaniu go duszy. Jego delikatna kawałość zostaje stepiona, ufanie zachwiane, zmysł zależności objawia się w sposób anarchiczny”.

I dalej: „Wychowywać — to znaczy wydobywać z dzieci przy jego największej i raz bardziej świadomością współpracy, czystości, chrześcijaństwa, świętego”.

Tyle „Tygodnik Powszechny”. Udzielanie rad rodzicom

3 WYWIADY NA JEDEN TEMAT

O KSIĄŻCE DO KTÓREJ SIĘ POWRACA POWIEDZIELI NAM:

P. JERZY LOWIŃSKI, technik dent. lat 36 — „Potop” czytam już jedenasty raz i na pewno nie ostatni. Znam go prawie na pamięć, ale za każdym razem znajduję tam coś nowego. To jest jedna z najpiękniejszych książek w literaturze polskiej. Chyba to nie tylko moje zdanie.

P. HENRYK SZOSTAK, pracownik umysłowy, lat 29 — Taka książka są niewątpliwie „Przygody dzielnego wojaka Szwajk”. Jej się nie czyta, tylko studiuje. To prawdziwa skarbnica anegdot i kawałów. Polecam ją mrukowi i malkontentom.

P. ALICJA ŚWIETAK, gospodyni domowa, lat 43 — Ja mogę czytać bez przerwy wszystkie książki Mniszkówny i Rodziewiczówny. Za każdym razem to tak się wzruszę, że aż płaczę. To są piękne rzeczy. Teraz takich nie piszą. A szkoda.

UWAGA!

Wszyscy jesteśmy dowiecni! Wszyscy bierzemy udział w

blaskawym konkursie naszego kącika pt. „Dlaczego czytamy Odgłosy?”

Odpowiedzi krótkie i dozwolone.

Pamiętamy również i o naszych przeciwnikach. Gramy fair.

Dla nich specjalny konkurs pt. „Dlaczego nie czytamy Odgłosów?”

Piszcie zwięźle i zjadliwie.

Odpowiedzi nadsyłajcie na kartkach pocztowych w terminie 9-cio dniowym na adres redakcji. Listę zwycięzców nagród ogłosimy w następnym numerze. Czekaamy.

LUW



Rys. J. Grzegorzewski

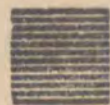
ZAGADKA TYGODNIA

Dzisiaj zagadka historyczna

Zadanie Czytelników w dzisiejszej zagadce nie będzie zbyt trudne. Chodzi po prostu o to aby orzec w jakich miastach umarli wymienieni niżej polscy pisarze czy mężowie stanu. A zatem gdzie zmarli:

- 1) Tadeusz Kościuszko
 - a) w Krakowie
 - b) w Waszyngtonie
 - c) w Solurze
- 2) Juliusz Słowacki:
 - a) w Genewie
 - b) w Paryżu
 - c) w Mediolanie
- 3) Władysław III
 - a) w Sandomierzu
 - b) w Warnie
 - c) w Kijowie
- 4) Adam Mickiewicz
 - a) w Brukseli
 - b) w Lyonie
 - c) w Konstantynopolu

Rozwiązania wyłącznie na kartkach pocztowych należy nadsyłać w terminie tygodniowym. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania rozlosowane będą nagrody książkowe. Zamiejscowym nagrody wysyłamy pocztą.



Informacje zaczepki

Świąteczna „Nowa Kultura” drukuje kolejny „List do pani Z.” Kazimierza Brandysa w którym znaleźliśmy nieco zmodyfikowaną anegdotyczną historię o dyrektorze gimnazjum znana z rok temu wydanej książki Wiesława Jażdżyńskiego pt. „Okolica starszego kolegi”.
 W roku ubiegłym na Uniwersytecie Łódzkim studiowało zaledwie 19 proc. studentów pochodzenia chłopskiego.
 Jak się dowiadujemy kierownik programowy kawiarni-klubu ZMS p. Janusz Zienko myśli o stworzeniu przy klubie — Teatru Jednego Aktora: gwoździ ścieślości należy dodać, że cenną myśl stworzenia w Łodzi takiej placówki rzucił „Głos Robotniczy”.
 Czytelnicy świątecznych numerów dwu łódzkich dzienników ze zdziwieniem przeczytali w nich ide teyczne materiały (duże!) „O Wyspie Wielkanocnej”.
 Aby tradycje stało się zadaniem na kolumnie 1-kwietniowej łódzkiego „Expressu” znalazła się notka o całkowitym ukończeniu prac przy budowie Teatru Narodowego — ciekawo nas kiedy wreszcie ów wieloletni dowcip stanie się praw-

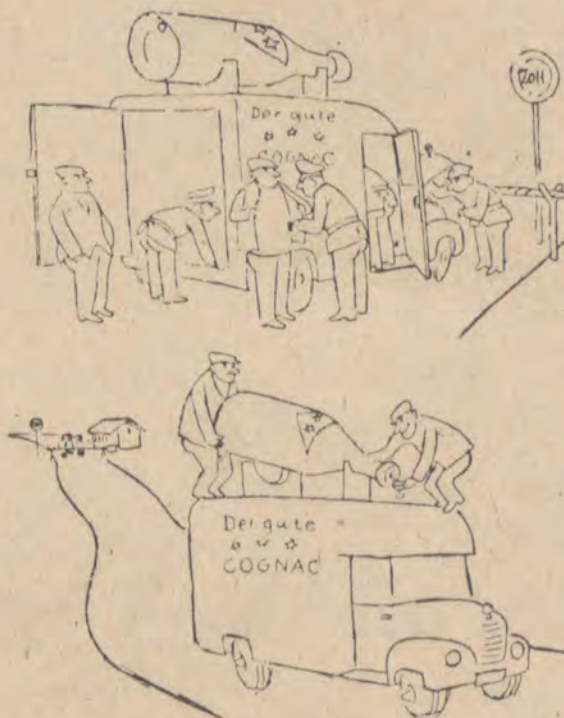
da. W końcu maja odbędzie się w naszym mieście zorganizowana przez Uniwersytet Łódzki sesja naukowa poświęcona Joachimowi Lelewelewici; na sesję zgłoszono 14 referatów z czego 6 to prace łódzkich historyków.
 W latach trzydziestych ponad półmilionowa Łódź liczyła sobie równo 100 tys. mieszkańców nie umiających czytać i pisać.
 Wszystkich naszych Czytelników zachęcamy do obejrzenia wystawy książki historycznej (mówiącej o dziejach Polski do wieku XV) eksponowanej w hallu Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Ludwika Waryńskiego.
 W związku z konkursem na Pomnik Juliana Marchlewskiego dowiadujemy się, że nadesłano już do Komitetu Organizacyjnego 10 interesujących projektów.
 Warto przeczytać sympatyczną i z nerwem napisaną książkę Emilii Kunawicz pt. „Dzieciństwo” wydaną przez Wydawnictwo Łódzkie.
 „Łodzianie lawą atakują koszulki z białym orłem” oraz „III liga na wulkanie” — oto rewelacyjne tytuły kolumny sportowej jednego tylko numeru „Dziennika Łódzkiego”; a swoją drogą lektura takich „kawałków” to interesujące zajęcie o charakterze zdecydowanie humorystycznym.

WIL

HUMOR HUMOR



Bez słów



Bez podpisu

Piórkem po aktualnościach

Wiele mówiono się o planach kierownictwa nowo powstałej kawiarni „Agawa”, które deklarowało gotowość postawienia tej placówki na wysokim poziomie — m. in. przez zorganizowanie kabaretu literackiego. W tym celu zaproszono podobno jednego ze znanych satyryków łódzkich, który przedstawił kierownictwu kawiarni koncepcję kabaretu.

I co? I nic. Koncepcja jest a kabaretu nie ma. Zaś z ambicji o wysokim poziomie pozostały jedynie utrzymujące się na nim — ceny. W dodatku w ostatnim czasie zobaczyliśmy na drzwiach kawiarni tabliczkę „Remont”.

Po trzech miesiącach działalności...

Artysta-rzeźbiarz Edward Nowicki postanowił ofiarować miastu jedną ze swych rzeźb dla ozdobienia któregoś z łódzkich pasażów. I co się okazuje? Miasto, a raczej pewne jego czynniki, zastanawiają się, czy można dar ten przyjąć, bowiem rzeźba przedstawia postać roznegliżowanej niewiasty.

Są to obiekcje jak najbardziej uzasadnione. Jak może w mieście, które ubiera niemal cały kraj — stać na widoku publicznym nieprzyodżiana kobieta?! A już ktoś mógłby pomyśleć, że jej nie stać na sukienkę...

„Mężczyźni są nie niewarci!” Jest to — cytujemy z łódzkim „Expressem” — wypowiedź Brigitte Bardot, która wylczyła szereg cech najbardziej irytujących ją u męskiej połowy rodu ludzkiego. Są to przede wszystkim: tchórzostwo, chrapanie, noszenie koszul wypuszczonych na spodnie i... dłubanie w nosie.

Trzeba stwierdzić, że wyżej wymienione cechy — a zwłaszcza tchórzostwo — są obce redaktorom „Expressu”. Wreć przeciwnie — redaktorów tych cechuje odwaga, czego dowodzi zamieszczenie tej niezwykle wiadomości, i to na pierwszej stronie.

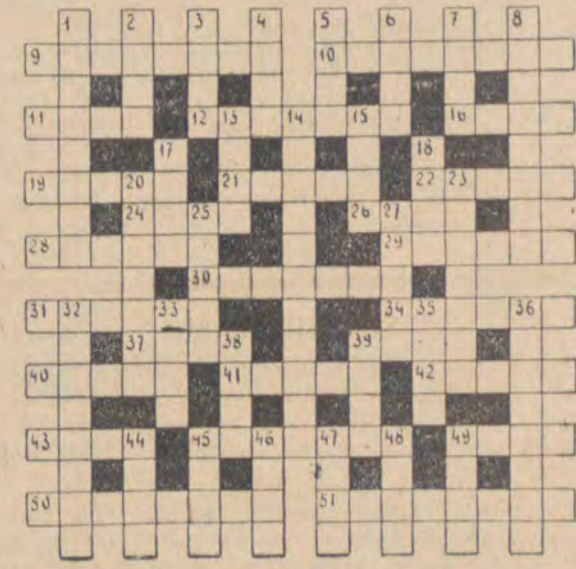
stwierdzili niedawno ci i owi, w tej liczbie również muzyczni recenzenci. A dlaczego nie taka wielka? No bo przyjechała na występy do Polski. Podobnie mówiono, gdy przyjechał do nas w swoim czasie Tino Rossi — „śpiewak nieznanymi”.

Szanujący się zagraniczni artyści! Jeżeli chcecie zachować dobre imię, pozostawcie „śpiewakami nieznanymi”. Przynajmniej w naszym kraju.

Czy wiedzą państwo, odkad tak pomieszają się pory roku, że ciepło jest zima, a śnieg pada na wiosnę? Podobno od chwili, gdy zaczęto śpiewać w radio piosenkę „Trochę wiosny jesienią...”.

Oto niezwykle potęga, trudno tylko ustalić — Radia czy piosenki?...

NASZA KRZYŻÓWKA



POZIOMO: 9) Inspekcja, 10) Nawóz sztuczny, 11) Jednostka długości, 12) Obszar wokół Bieguna Północnego, 16) Składnik powietrza, 19) Bok statku albo łodzi, 21) Nieodolny starzec, 22) Zespół muzyczny, 24) Nalot na niekorynych metalach lub choroba roślin, 26) Kawior (po rosyjsku), 28) Państwo w Ameryce Środkowej, 29) Zakład służby zdrowia, w którym sporządza się i wydaje leki, 37) Skaza, rozpadlina, szpara, 39) Ptak, 40) Jest na żaglowcu, 41) Arteria wodna, 42) Port w południowej Szwecji nad ciśniną Sund, 43) Sus, 45) Część fortyfikacji wzniesiona z obwałowania, narożnik, 49) Metal, 50) Trudny do zgryzienia, 51) Kotlet z mięsa wołowego.

PIONOWO: 1) Drobnina, najmniejsza część substancji zachowująca jej właściwości chemiczne, 2) Marka samochodów ciężarowych, 3) Napój, 4) Instytucja finansowa, 5) Plecy, 6) Zwierzę futerkowe, 7) Kość, 8) Gatunek jaszczurki, zmieniającej barwę przy podrażnieniu, 13) Wydrążony wewnątrz wałek metalowy lub drewniany, 14) Usposobienie każdego człowieka, 15) Jeden z bohaterów „W pustyni i w puszczy”, 17) Metal, 18) Rodzaj opahu, 20) Robotnik noszący ciężary, 23) Rodzaj marchwi, 25) Rezerwa, 27) Przeźbienie, 32) Ważna funkcja w zespole piłkarskim, 33) Imię żeńskie, 35) Drapeżnik z rodziny kotów, 36) Stopień oficerski w marynarce, 38) Pieśń, śpiew solowy, 39) Kolor w kartach, 44) Zwierzę futerkowe, 45) Ciastko, 46) Malinowe, wiosenne itp., 47) Persja, 48) Pismo dyplomatyczne, 49) Uczynek.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówki z n-ru 8

POZIOMO: herbała podium, Albion, okreg, tekst, kret, sak, flet, wałc, era, wikt, opas, aguti, ident, poszum, tratwa, kantata.

PIONOWO: menu, styl, doktor, ikra, magisterium, antykwariat, boks, prestiż, delegat, połowa, stator, kurz, uran, ruta.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. Irena Sadowska, Łódź, ul. Próchnika 22 m. 17.
2. Feliks Fedzin, Łódź, ul. Skądna 28.

jest, oczywiście, rzeczą pożyteczną. Propozycja izolowania dziecka od trującego wpływu radia, kina, telewizji i sloganów reklamowych — a więc, ostatecznie, od tych elementów, z których składa się nasze życie — wydaje się wszakże dość zabawna. Być może, delikatna ciekawość świętego uległa stopniowi i zatruci w zeknięciu z kinem i radiem. Ale ciekawość dziecka żywi się — i żywić się chyba powinna — konkretna rzeczywistością. A wychowywanie dzieci nie ma — cóż robić — nie wspólnego z wychowywaniem świętych.

ZMIANY ŻYWIOWE W JEZYKU

„Zyjemy w epoce kolosalnej unifikacji języka. Przede wszystkim, jeśli chodzi o różnice geograficzne. Cechy warszawskie, np. takie — rekamy, nogamy, rekie, nogie”, co do których jeszcze prof. Nitsch był przekonany,

że wejdą do ogólnopolskiego języka mówionego, są już tylko (i to coraz rzadszym) kolorowym lokalnym warszawskim przedmiotem.”

Cytat pochodzi z rozmowy z prof. Zdzisławem Stieberem poświęconej problemowi rozwoju języka a opublikowanej w ostatnim numerze „Polityki”. Rozmowa warta jest polecenia Czytelnikom, przede wszystkim tym może, którzy niezłomnie gotowi są bronić czystości i niezmienności kanonów języka polskiego. Profesor jest bowiem — rzecz, jak się zdaje, wśród językoznawców dość rzadka — wysoce tolerancyjny, nie przeraża go inwazja nowego, często o dość wątpliwym pochodzeniu, słownictwa, dopuszcza możliwość — ba, nawet konieczność — zmian żywiołowych w języku, i opaniada się, przynajmniej w podtekście rozmowy, przeciw martwym kanonom mowy, za żywym językiem.

ERAZM

TADEUSZ GIGIER

czy się komus podobą, czy się nie podobą praszkę dzisiaj drukuje Gigier lub Doroba

DO NIETRZYCH ŁÓDZKICH AKTORÓW

Oj, kochani aktorzy, źle się coś bawicie; nam idzie o kulturę, a wy chałturzycie.

Redaguje Zespół ♦ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” ♦ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 86 Tel. 244 79 ♦ Warunki prenumeracji: miesięcznie zł 1.—, kwartalnie zł 12.— ♦ Redakcja nie zamawia reklam i nie zwraca ♦ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy” Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 ♦ Zam. 1033 IV. L-4

PIEKNE DZIEWCZĘTA NA LAMY „ODGŁOSÓW”



LILIANA SKORUK

Foto: P. Nowakowski

Numizmatycy

Przy oddziale łódzkim Polskiego Towarzystwa Archeologicznego powstała sekcja numizmatyczna. Przewodniczącym sekcji jest Kazimierz Zblichorski — starszy księgowy. A wśród członków założycieli znajdujemy następujące nazwiska: Witold Nakielski — student wydziału chemii UL, Stanisław Bulkiewicz — elektryk, Anatol Gupieniec — kustosz Muzeum Archeologicznego, Roman Kaczmarek — profesor, Jerzy Gabala — robotnik, Tadeusz Rytch — inżynier chemik, Stanisław Romanowski — rencista, Włodzimierz Głuchowski — farmaceuta oraz literaci Tadeusz Chrościelewski i Igor Sikiryci.

Sekcja wydała już trzy numery własnego biuletynu pt. *Numizmatyk Łódzki*.

SUBSKRYBENCI

Spora ilość robotników subskrybowała już 10-tomową Encyklopedię Powszechną, chociaż cena jednego tomu przewidziana jest na niebagatelną sumę 180 zł. Ciekawe, iż wielu subskrybuje Encyklopedię „perspektywnie” — przyda się dzieciom.

Oczywiście, mimo wszystko największym powodzeniem encyklopedia cieszy się wśród inteligencji. W każdym razie zapisało się już 10 tysięcy osób i chętni wciąż się zgłaszają. Nawet tacy, którzy przed kilku tygodniami kupili za ponad 200 zł Małą Encyklopedię.

Bufet zostanie

Urząd Stanu Cywilnego dla dzielnicy Śródmieście zamierza wyprowadzić się z zajmowanego dotychczas pomieszczenia przy Al. Kościuszki 1. Trwają poszukiwania bardziej reprezentacyjnego lokalu. Pod uwagę bierze się znany w Łodzi Klub Związków i Stowarzyszeń Twórczych.

Przedstawiciele USC informują, że jeśli tutaj się wprowadzą, bufet będzie czynny nadal. Po to, aby nowożeńcy i towarzyszące im osoby mogły wznosić toasty winem lub szampanem.

Na gościnnych występach

Trzy rodzone siostry: Daniela, Marianna i Czesława Sz. przyjechały z Kalisza do Łodzi na gościnne występy. Prostytucję uprawiają dla pieniędzy, miłość lesbijską dla przyjemności. Włóczą się z kupierami i „gośćmi” po kawiarniach, często wysiadują w „Liliane”. Marianna za różne przestępstwa była karana więzieniem. „Do pracy nie pójdziemy za tysiąc złotych” — odpowiadają buńczucznie, chociaż żadna z nich nie ma wyuczonego zawodu.



Przesyt rynku

W ubiegłym roku ucziwi znalazcy odnieśli do łódzkiego biura rzeczy znalezionych dokładnie 20 zegarków na rekę. Były i zegarki na „buk-sach” i cenne „Doxy” czy „Cymy”. Jednak tylko dwie osoby z uszkodzonych po-fatygowaly się po odbiór zguh. Pozostałe 18 zegarków najwy-rażniej będzie musiało zasilić ponownie — jak widać i tak już zapchany — rynek zbytu artykułów prezycyjnych.

Odprowadzono również do biura 20 rowerów. Żaden nie został odebrany. Najwyraźniej strata roweru skłoniła byłych właścicieli do szybkiego zmotoryzowania się. Kto by sobie dziś zwracał głowę takim „archajzmem”, jak ro-
wer.

Wyszedł z ubrania i nie wrócił

Pismo KM MO Łódź do biu-ra rzeczy znalezionych z dnia 3. XI. 1960: „W załączeniu przesyłamy garnitur w dobrym stanie koloru granatowego wraz z niżej podanymi przed-miotami — grzebień czarny, okulary, 6 kluczy, portmonet-ka z zawartością 75 groszy, szczyryk. Wyż. wym. przed-mioty znaleziono przy ul. Sarmackiej w łasku”.

Jak widać z zawartości kie-szeni, garnitur przed porzuce-niem najwyraźniej musiał być „zamieszkały”. Przypomniamy, że rzecz działa się późną jesienią. Nie wykluczone jed-nak, że do dziś krąży po mie-ście osobnik w samej jeno bielźnie.



Wielka biesiada

W okresie minionych świąt wielkanocnych łodzianie spa-laszowali 30 ton gęsi, 256 ton szynki, 10 t. śledzi solonych, 11 ton rodzynek, 12 ton fig, 10 ton włoskich orzechów, i 200 ton pomarańczy. Wszyst-kie te delikatesy podlano 160 tonami wina i miodu. Niestety informacji o ilości wypitej wódki nie możemy podać, gdyż jak się przewidu-je dwa mózgi elektronowe za-angażowane do szczegóło-wych obliczeń zakończą swą czynność dopiero za 11 mie-sięcy.

Z działalności poliglotów

Łódzki Międzynarodowy Klub Książki i Prasy jest poważnym źródłem informacji o świecie. W dwu czytel-niach Klubu znajduje się 293 tytuły czasopism, w tym polskich 107, zagranicznych 186 tytułów. Największą ilość czasopism reprezentuje ZSRR — 69, potem idą cza-sopisma niemieckie (łącznie NRD i NRF) — 29, dalej francuskie — 26, czechosłowackie — 10, angielskie — 9, amerykańskie — 7, włoskie i austriackie po 6, rumuńskie i chińskie po 4, szwajcarskie, belgijskie, jugosłowiańskie, węgierskie i izraelskie po 3, Bułgaria — 2 i po 1 Korea, Norwegia, Dania, Szwecja, Holandia, Albania i Finlandia. Z przykrością należy stwierdzić, że wiele z tych pism Czytelnicy zabierają ze sobą ewentualnie wycinają ży-letkami co ciekawsze artykuły lub... babki. Najwięcej znika czasopism technicznych i ilustrowanych. Z pol-skich pism największą „poczytnością”, jeżeli to tak można nazwać, cieszą się „Horyzonty Techniki”, „Prze-krój” nie ginie.

„Wzór”

Jak nas poinformowano, mieszkańcy Łodzi niezbyt chętnie płacą czynsz lokalowy. Ogółem stan zaległości z tego tytułu w samym MZEM Łódź-Górna wyniósł za rok 1960 ponad 308 tysięcy złotych. Lokatorzy jednego tylko ADM nr 12 winni byli w końcu ubiegłego roku 18 tysięcy złotych.

Do najbardziej opornych płatników, jak się okazuje, należy Spółdzielnia Pracy „Wzór”. No i teraz wszystko już rozumiemy, „wzór” jest.

Łódź ku turalna

Według statystyki każdy mieszkaniec naszego miasta w 1960 roku odwiedził te-
atr — 1,115 raza, filharmo-nię — 0,531 raza, operetkę — 1,19 raza i operę — 0,126 ra-za. Uwaga! Za dane statys-tyczne po przecinku redak-cja nie odpowiada.

Przechowalnia

Naszemu miastu przybyła jeszcze jedna pożyteczna in-stytucja. Jest nią przechowal-nia dzieci, którą prowadzi Liga Kobiet. Przechowalnia ta nazwana osobiście przez założycielki „kącikiem dla dzieci”, otwarta została dnia 8 marca br. i mieści się przy ulicy Parkowej 4.

Jak się dowiadujemy, do-fychezas z usług tej placów-ki skorzystało jedno dziecko.

Przypadek

W kawiarni w Kutnie zatrzymano 16-letniego Witolda G., który zbiegłszy z domu poprowadził w Werszawie dokonał 71 włamań na terenie całego kraju. W czasie do-chodzenia prowadzonego przez Komendę Wojewódzka Mi-licji Obywatelskiej w Łodzi wyszło na jaw, że ow młó-dzian obrabował m. in. Powszechny Dom Towarowy w Szczecinie.

Tamtejszą milicję wiele było zdziwiona, gdy powia-domiono ją, że sprawcą włamańia przebywa w Łodzi. Od kilku tygodni, bowiem była przekonana, że włamywacz siedzi w szczecińskim areszcie. Okazało się, że tej samej nocy do PDT w Szczecinie włamały się dwie bandy Wła-mywacze z jednej bandy, oczywiście, nie nie wiedzieli, że z drugiej strony budynku w tym samym czasie usiłują dostać się do wnętrza ich koleżdy po fachu...

Nowa era w...

...leczeniu zębów. Nikt już nie będzie się bał borowania, albowiem obecnie będzie się ono odbywało z szybkością 250 do 300 tysięcy obrotów na minutę. Przy tej szybkości delikwent, nawet najbardziej wrażliwy, nic nie czuje.

W dodatku — już! W tej chwili w Łodzi znajdują się już dwie tego rodzaju maszyny-cuda. Za kilka dni zostaną uruchomione. Czeka się tylko na mechanika z Czechosło-wacji, gdyż maszyny są zbyt skomplikowane, by człowiek nieobeznany z produkcją tych aparatów mógł je urucho-mić.

Borowanie zęba z szybkością 300 tysięcy obrotów na minutę wymaga także niezwykle wprawnej ręki lekar-skiej i odpowiedniego przeszkolenia. Ale mimo wszystko już za 2—3 tygodnie pierwsi pacjenci przejdą bezbolesne borowanie zębów. Kto ma cierpliwość niech czeka. Kto nie niech boruje z szybkością 5 tysięcy obrotów na minutę. Brrr... brrr.

Dotatkowe widzenie

— Widzenie? W tym mie-siachu już ktoś brał. Niestety, drugiego wydać nie możemy.

Takie zdanie dość często można usłyszeć w sekretar-
iatach wydziałów karnych łódzkich sądów. Przepis jest surowy i rygorystyczny — zupełnie zresztą słusznie — przestrzegany.

Ale przemieśmy się na mo-ment o kilkaset metrów da-lej: na ulicę Sterlinga, gdzie pod numerem 16 znajduje się ponury gmach jednego z łódzkich więzień.

Po przeciwnej stronie na chodniku stoi grupka mło-dych mężczyzn. Jeden z nich gwizdże, widać, w umówio-ny sposób; jak za dotknię-ciem czarodziejskiej różdżki w którymś z frontowych o-kien więziennych ukazuje się głowa przymusowego pensjonariusza. I rozmowa trwa na całego!

W ten sposób radzą sobie żony więźniów, babcie, kole-dzy, narzeczone...

Wywiad z dziadkiem



Foto: Jan Kopeć